BIBLJOTEKA i MUZEUM Z. N. P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
II. Nie dotykaj mnie brudnemi rękami.
III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Bibljoteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

347

Halina Kromer

W OGNIU MIŁOŚCI



SKŁADY:

WARSZAWA. GEBETHNER I WOLFF.

KRAKOW G GEBETHNER I SPOŁKA.

1914.

HALINA KROMER

W OGNIU MIŁOŚCI,

ZE ZNALEZIONYCH LISTÓW,
JEJ DZIENNIK,
DO SZCZĘŚCIA.

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Str.	wiersz od góry	wydrukowano:	powinno być:
28	1	roześniona	roześmiana
29	4	rozdraźniona i wymagająca	rozdrażnionyi wymagający
29	16	może	mnie
30	24	gnać	grać
32	3	trapiącym	tropiącym
34	18	poprzednik	poprzednio
34	24	słodych	słodycz

W OGNIU MIŁOŚCI.

Obie młode kobiety, wychylone z loży, śledziły z zapartym oddechem rozgrywający się na scenie dramat.

Potok cudnych milosnych słów pieścił ucho i upajał duszę.

Nieuchwytny czar wiał od tych dwojga, ogarniętych przepotężną falą uczucia, a wplątanych w zdradziecką siłę zla, czyhającego, aby zburzyć ich szczęście.

Tęsknota o cudzie, o szczęściu, które dusza życie całe śniła, spełnia się, — lecz w chwili gdy skrzydła anielskie tej duszy połamano już na kawalki, gdy biel ich przeczystą splamil brud, skazilo zlo...

Ona, ten aniol upadły — stoi przed ukochanym upokorzona i wstydem płonąca, że mu już białości niepokalanej dać nie może, choć wzamian oddaje mu całą tę biedną duszę swoją, przemęczoną bólem i oczyszczoną w ogniu przeżytych prób.

Ale to nie ma wartości...

Całe wieki złożyły się na to, by utrwalić zasadę—wygodną arcy dla samca mężczyzny o wyłączności posiadania kobiety,—kiedy sam, przeciwnie, pozostawił sobie swobodę pławienia się w niskich rozkoszach zmysłowych, całą możność używania zmysłowego, aż do upadku sił fizycznych, aż do zrujnowania zdrowia duszy i ciała.

I dopiero znużenie ogólne przypomina mu, że względem społeczeństwa ma obowiązki stworzenia ogniska rodzinnego, a w gruncie rzeczy więcej może popycha go ku temu wrodzona skłonność atawistyczna.

A kiedy już zdecyduje się wreszcie na tę ostateczność, zaczyna poszukiwać szczęśliwej, której resztki swej męskości — swych wystygłych już napół porywów miłosnych ofiarować raczy... po za tym serce, niezdolne już do uniesień i miłości — ale również i całą wyrafinowaną umiejętność wsączania trucizny zmysłowego zepsucia w kobiece nerwy i duszę.

Na scenie było ich dwóch.

Jeden z nich, to ten pierwszy, co tchnął w czystą jeszcze duszę dziewczyny zarazek gangreny moralnej i splamił jej budzącą się kobiecość, a pierwsze cudne jej kochanie zbezcześcił, i przez to pchnął ją na bezdroża.

I ten drugi, — jej spełniona za szczęściem tęsknota życia, dusza jej duszy, marzyciel o sercu kryształowym — widzący w kobiecie wcielenie bó-

stwa, anioła, jeden z tych nielicznych, mogących zaofiarować ukochanej na ołtarzu miłości cały urok niezbrukanych zmysłów i czar niewypalonej namiętności.

I w tym tragiedja cała.

Koniec aktu drugiego. Kurtyna spada w chwili, gdy groźny demon w postaci jej pierwszego kochanka — jak przeznaczenie przed tą nieszczęsną staje i nie pozwala biednej zapomnieć o tym, że jej już kochać i czuć uczciwie nie wolno, że nieubłagane społeczne prawo, stojące po stronie mężczyzny i pozwalające krzywdzić kobietę—odpycha ją po za kordon społeczny.

O, krwaw się biedne serce kobiece! — buntuj się przeciwko temu, że jeszcze żyjesz i czujesz po ludzku, a powinnoś już było dawno martwym stać się kamieniem... Inna już teraz rola przypadła ci w udziale — nie uderzać zgodnie z drugim — ukochanym sercem, lecz skamienieć lub życie całe śmiertelnym jadem pogardy się poić.

A ty, istoto biedna, z praw ludzkich wyzuta, idź dalej drogą ku otchłani — do niej skierowała cię ręka mężczyzny — oto wznosi się nad głową twoją nieubłaganie, zamykając ci drogę do odwrotu. Iść musisz tam, gdzie cię ona pierwsza popchnęła.

Obie siostry znajdowały się tak dalece pod wrażeniem dramatu, rozgrywającego się na sce-

nie, że dosyć długo jeszcze po zapuszczeniu kurtyny nie odzywały się do siebie, pogrążone każda w swych myślach.

Wreszcie starsza z sióstr pierwsza przerwała ciszę i, patrząc na zadumaną twarzyczkę młodszej, spytała:

— O czym, Hanko?

Oczy Hanki, jak ze snu przykrego zbudzone, pełne były jakiejś bolesnej zaciętości i ponurego zapatrzenia się w siebie.

Na pytanie siostry nie zaraz odpowiedziała.

Machinalnie zapinając bransoletkę w kształcie złotego węża — na klasycznej swej rączce — układała rozpierzchłe myśli, jak ptaki, które długo skupione pozostawać nie mogły — wreszcie przemówiła—z wysiłkiem, hamując wzruszenie:

— Myślę o tym, że kwestja, którą autor poruszył w tej sztuce, jest nie do rozwiązania, jednak... nie spodziewałam się nigdy usłyszeć tego ze sceny dziś właśnie i zdziwiło mię na razie, że tyle cudnych słów o miłości i kobiecie i sama myśl ta wyzwolenia duszy kobiecej z pod jarzma przesądów, a raczej lepiej z pod jarzma tyranji mężczyzny w sprawach miłosnych i jego w tych wypadkach braku etyki — mogła wyjść z ust człowieka, który, mówiąc entre nous, tak mało, a raczej wcale nie ceni kobiety i uważa ją

li tylko za przedmiot do zaspokojenia żądzy — i wcale się z tym nie tai.

— Tak, Hanko, ale, widzisz, niepodobna wiedzieć, co się w głębi duszy ludzkiej mieści — a można widocznie kryć się zazdrośnie ze swym najcudniejszym marzeniem i plwać jednocześnie na to, czemu się w duszy swej ołtarz wystawiło.

— Oj, marzycielko ty moja! — rzecze siostra, — alboż to w chwili twórczej autor przeżywa wrażenia całego życia? — wszakże on wtedy żyje jedynie myślą, która naraz w mózgu jego się zrodziła—wywołana, być może, jakimś faktem, lub zewnętrznym wrażeniem.

— A zasady, Hanko! a jego credo!... Przecież to powinno być przewodnią myślą w jego dziele...

— Dzieciaku, toż to byłoby nudne i za jednostajne, — a przytym nas teraz zajmuje najwięcej taki tylko. błyskotliwy fajerwerk myśli, który potrafi olśnić, wzruszyć lub podniecić przytępione nerwy i zmysły.

— Patrz jednak, Ela, jak jesteśmy obserwowane...

Istotnie, zajęte ożywioną rozmową, nie spostrzegły, że znajdują się pod skrzyżowanym ogniem lornetek z pierwszych rzędów krzeseł i sąsiednich lóż.

Obie uroczo piękne i tak oryginalne urodą i różne jedna od drugiej — przytym artyzm skończony w stroju młodszej i niezrównany szyk u starszej budziły zachwyt i zaciekawienie ogólne, tembardziej że były same w loży.

Hanka usunęła się dyskretnie w głąb, aby uniknąć natarczywych spojrzeń, chociaż sama ciekawą była, czy nie znajdzie kogoś ze znajomych z tego błyszczącego eleganckiego świata, w którym królowała przed dwoma laty, lśniąca urodą, wdziękiem, otoczona rojem wielbicieli, gotowych na każde jej skinienie, śledzących z natężeniem, obawą i nadzieją każdy jej uśmiech, każde drgnienie purpurowych ust i każdą zmarszczkę nudy lub gniewu na alabastrowym czole. Jak barwny motyl nęciła słodyczą i czarem egzotycznym, a tak upojnym, że nie było mężczyzny, któryby jej nie uległ. A najpierwszym i najpoddańszym niewolnikiem był jej... własny mąż... ślepo i wiernie kochający. I naraz wszystko to prysło, jakby zgaszone podmuchem złego demona. Kaprys pięknej pani dla jednego z wielbicieli — przerodził się w uczucie, płomienne jak gorący sirokko—i wpadła jak ćma w ten płomień — — zapominając o wszystkim...

Wtedy dekoracje się przemieniły: — zakochany, wierny mąż—stał się zawziętym wrogiem, chociaż dawniej aprobował flirty swej żony i dumny był z jej powodzenia w świecie... Teraz

jednak potępił ją pierwszy, a za nim świat i ci— co się jej najpoddańszemi przyjaciółmi mienili.

I teraz.

Hanka myśli o tym wszystkim, lornetując loże i krzesła i pierś jej podnosi się westchnieniem ulgi, gdyż nie dostrzegła nikogo... Pierwszy to raz znajduje się wśród ludzi po tych wszystkich bolesnych przejściach i drży obawą przed czymś, co ją jeszcze spotkać od nich może.

Ela niespokojnie spogląda na siostrę... i ona tak samo obawia się spotkania kogoś z wtajemniczonych w dramat życiowy Hanki... i tych spojrzeń świdrujących duszę, niedyskretnych a ciekawych pytań, tych wszystkich, co z rozkoszą lubią sondować serca i dusze — i napawać się, rozkoszować czyimś bólem, ze smakoszostwem zdegienerowanych cyników...

Obawiała się jednak napróżno... Nikt nie poznałby i nie uwierzył, że nad cudną głową Hanki przeszedł jakiś grom — jakaś burza, że te cudne, jak noc czarne oczy, iskrzące się blaskiem brylantów, krwawemi łzami płakały, a giętką wężową kibicią wstrząsał spazm bólu i namiętnej rozpaczy.

Pod złoto-rudą kaskadą włosów błyszczały tak pełne niezrównanego uroku oczy, a ponsowe usta wabiły taką słodyczą, jakby zgoła nie znały jeszcze wcale, co za przykre niespodzianki zawiera w sobie życie.

Patrząc na siostrę, Ela cieszyła się w duszy z tej dziwnej metamorfozy. Wszakże niedawno jeszcze drżała o jej zdrowie i życie. A dziś widzi ją znowu w całej promiennej krasie, tak swobodną i ożywioną jak nigdy.

Ona, Ela — — chociaż nie przeszła takiej gehenny cierpień, jak Hanka, a jednak — nie rwała się tak do życia... jak tamta, której cała postać wyrażała sobą moc pragnień szczęścia i rozkoszy.

I rzeczywiście — bladawa twarzyczka Eli, jej niezapominajkowe oczy — przy włosach barwy przedziwnej kruczej prawie czarności, miały w sobie jakiś urok spokojny zaświatowy — a kibić jej szczupła i wiotka przypominała owe postacie dziewic prerafaelowskich, zapatrzonych w nieuchwytną dal.

Teraz spojrzenie jej oczu utkwione było w twarzy siostry, płonącej rumieńcem — przecudnej w swej czarnej gazowej sukni, odkrywającej olśniewająco białe ramiona.

Naraz promienna twarz Hanki zbladła, główka pochyliła się w lekkim ukłonie i zaraz potym spostrzegła Ela przez skierowaną w tę stronę, gdzie siostra patrzała, lornetkę—znajomą postać Leona Radlińskiego.

— Hanko! — szepnęła. — Haneczko, uspokój się, — choć samej powieki drżały ze zdenerwowania i obawy o siostrę.

Ale tamta oparła się tylko silniej o poręcz krzesła, na którym siedziała, a ze zbladłych warg nie wyszło żadne słowo — choć pragnęła widocznie coś powiedzieć, o coś prosić... aż po chwili, gdy rumieńce na twarz jej wróciły i na ustach zjawił się uśmiech, pełen bolesnej goryczy, uspokoiła siostrę niemym uściskiem ręki i spojrzeniem zamglonych smutkiem oczu.

— A jeśli przyjdzie tu do loży?... — wyrwało się z ust Eli niebaczne zapytanie.

Hanka drgnęła, jakby gromem rażona, ale po chwili rzekła zupełnie spokojnym głosem:

— Nie lękaj się, Elinko, napróżno, jestem spokojna aż nadto, że to się nie stanie. Pan ten zbyt jest ostrożny, żeby się obecnie przy mnie ukazać światu. On teraz bardziej niż kiedykolwiek dba, aby zatrzeć chcćby najlżejszy ślad swego niegdyś zbliżenia się do mnie.

— Wszakże jestem wolna obecnie—sprawa rozwodowa na ukończeniu — a to jest dla niego mostem — nie łączącym nas, lecz rozdzielającym na zawsze.

— Jakto, Hanuś? I ty o tym tak spokojnie możesz mówić?

— A cóżbyś chciała, żebym na jego widok zemdlała, lub łzami zrosiła koronkową chusteczkę?

Zresztą miałaś przed chwilą dowód, że nie zapomniałam o nim zupełnie... — przy tych

słowach wargi jej drgnęły—ale jam już nie ta sama, co przedtym... Skamieniałam po części i z marzeń swoich zrezygnowałam, a w sercu pustka i niezdolność do ukochania czegoś, czy kogoś...

— Bawić się chcę i użyć życia, do czego mam prawo... wszystko brać od ludzi, nic wzamian nie dając, prócz blasku swej piękności, którą oczy nasycić mogą.

— Wiem już teraz, czego mogę się spodziewać od życia, i o czym marzyć,—chimerą byłoby i mrzonką...

— Tak, to wszystko pięknie by było, gdybyś tak czuła naprawdę, a czemu jakoś wierzyć nie mogę, ale ten człowiek skompromitował cię wobec świata, — uwiódł... oderwał od męża, a potym kiedy się to jawnym stało — zniknął z widowni, zostawiając cię na łup rozpaczy i wstydu...

— Jeśli ja dotąd przeżyłam to wszystko, Elinko, to już nic gorszego się nie stanie... wszystko to co teraz nastąpi, będzie już prawie bez znaczenia... po tamtym.

— Ot, patrz, kurtyna się podnosi, ujrzymy tymczasem na scenie koniec dramatu, a ciekawa jestem bardzo, co zwycięży: miłość — czy też przesąd mężczyzny do kobiety — nie — anioła...

I krwawiły się serca tych dwojga na myśl o rozstaniu wiecznym... które stało się koniecznością, bo on pragnął—kochając, czcić jedno-

cześnie ubóstwianą kobietę, której ołtarz w swym sercu zbudował... a ona nieszczęsna sama, własną ręką w jego oczach zdarła ze siebie tę aureolę świętości, którą on nad czołem jej widział i odkryła całą bezbrzeżną nędzę swojego ja, całą siebie, zbrukaną ohydą przedajnych uścisków i płatnej na godziny rozkoszy...

A.. co za okropność!... Ohyda!... — Beznadziejność...

I nic już nic oczyści i nie odrodzi jej duszy i ciała — jeżeli miłość — cud — odwróci od niej swe promienne oblicze. Powróci wtedy do dawnego życia, pójdzie w tę przepastną ciemnię — i do końca dni swoich pozostanie tą potępioną, tą Magdaleną, kamienowaną przez sprawców swej niedoli. Ale miłość zwycięża... na scenie bohater dramatu nagradza sobą,—swoją miłością i przebaczeniem przeszłości krzywdę wyrządzoną ukochanej przez innych.

Grzmot oklasków... wywoływanie autora, obrzucenie go kwieciem w dowód uznania dla sztuki... wreszcie owacja ze strony publiczności dla głównego bohatera sztuki, ulubionego aktora Bryńskiego, którego gra porywająca entuzjazmowała widzów... wszystko to raz jeszcze przeżywały obie siostry, jadąc w powozie do domu — otulone w puszyste futra.

— Hanko! wysiadamy...— i Ela przy tych słowach dotknęła lekko ręką ramienia zamyślonej siostry.

Szybko przebiegły schody wysłane miękkim dywanem, tłumiącym szelest kroków, u drzwi pierwszego piętra czekała już na nie uśmiechnięta pokojowa. Szybko i zręcznie rozebrała obie panie z futer i przeprowadziła do jadalni — gdzie zastały stół wytwornie przybrany i nakryty na dwie osoby. Cicho i dyskretnie usługując, — dziwiła się, widząc, jak potrawy schodziły nietknięte ze stołu, a obie panie siedziały milczące i smutne. Przy końcu kolacji ośmieliła się wreszcie przerwać panującą w pokoju ciszę zapytaniem, czy pani Ela każe sobie podać list z Czarnogóry — który nadszedł, wieczorną pocztą.

Na wyrażone życzenie, Anna list przyniosła i podała Eli, niezbyt zainteresowanej treścią, którą prawie znała.

Wiedziała, że list pochodzi od męża i że w nim nalega na przyśpieszenie powrotu do domu, a to ją martwiło, ze względu na siostrę, o której zdrowie i równowagę duchową była niespokojną.

Zagasła raptownie twarz Hanki — dziwna ponurość w oczach mówiły aż nadto, że zapewnienia jej pięknej siostrzyczki o zapomnieniu i obojętności, były czczemi frazesami lub też wypływały z pobudek, mających na celu uspokojenie jej — Eli, która sercem kochającym odczuła i przeżyła całą tragiedję jej życia.

A jednak musiała wrócić do domu, gdyż listów podobnych odebrała już kilka, a w każdym

delikatne przypomnienie o przedłużającej się zbytnio nieobecności pani domu.

Mąż jej, przyzwyczajony do ciągłego towarzystwa żony i do jej jednostajnej pogody humoru, nie lubił długo pozostawać sam w ogromnym pustym domu, nie ożywionym dziecinnym szczebiotem, a pomimo ciągłych w tej porze polowań i z tej przyczyny wyjazdów, — nazbyt lubił zastawać po powrocie miłą i śliczną jej postać, witającą go uśmiechem serdecznym, żeby móc znieść dłuższą jej nieobecność. Więc i obecnie biorąc list do ręki, Ela wiedziała, że mąż jej prosi o jaknajprędszy powrót — motywując tęsknotę za żoną różnemi bieżącemi sprawami, niby to wymagającemi jej obecności, gdyż jako Litwin, skryty z natury, wstydził się prawie swej słabości — i miłości względem kobiety ubóstwianej. A pani Ela, czytając list, pozostała chłodna i nieodgadniona, a na pytający wzrok siostry odrzekła:

— Wracać mi trzeba, Hanuś.

I cicho było w pokoju po tych krótkich słowach — tylko serca obu sióstr ściskały się żalem na myśl o rychłej rozłące.

Hania, która pozostawała sama ze swym bólem jedynie, mniej cierpiała widocznie na myśl o wyjeździe siostry — bo nie zdawała sobie sprawy z obaw, jakie nurtowały sercem tamtej.

Atoli serce Eli płakało na samą myśl tego, co czeka Hankę, gdy pozostanie tu sama, na łup

swych myśli oddana, a pragnąca zagłuszyć wspomnienia choćby orgjastycznym tańcem rozkoszy, jakiej pragnęła od życia. Wiedziała, że Hanka kocha, a raczej nie przestała kochać i szarpać się ze sobą.

Ta myśl była dla niej zabójczą.

Wiedziała, że tego nie przemoże nikt — ani żadna moc nie ukoi.

O! wiekuista zagadko serca kobiecego!

O! niewygasły przenigdy ogniu jedynej prawdziwej i potężnej namiętności, którą zwą miłością. Nieugaszony ogniu! Jeśli raz ogarniesz swym płomieniem serce ludzkie — nie przestanie płonąć ono nigdy — dopóki nie zetli się do cna i nie spopieli.

O, ileż serc i ileż dusz spłonęło już i płonie wciąż na tym stosie ofiarnym. Tęsknota wieczna, nieuchwytna przepala je i trawi... i pożądanie bez... kresnej miłości, której prawie że posiąść niepodobna... o! bo i jakże rzadko sprawdza się czarowna baśń arabska o tych rzuconych we wszechświat połowach dusz!...

Szukamy wszyscy—tęsknimy i pragniemy — nieraz sami nie wiedząc czego...

Mijają dni, miesiące, lata... tęsknota wzmaga się, potężnieje, rośnie... a jednak prawie nigdy... czy to w chwilach owych szalonych upojeń... czy w minutach obłędnych szałów, przeczuć radosnych, zachwytów nadziemskich — nie byliśmy zupełnie

pewni, czy źródło, z którego pijemy — zawiera właśnie ów napój czarowny... ową hostję zbawienia.

Tęsknimy dalej i dalej — nic nie wiedząc, czy tęsknota się ziści — bo rzadcy tylko wybrani— wielcy wtajemniczeni zdołali może dociec do jądra trapiącej nas zagadki.

W zacisznym buduarze, dokąd przeszły, skarżyła się żałosnym głosem Hanka, wtulona w miękkie oparcie kozetki:

— Kochał mię, Elu!... był mi tak oddany, jak tylko wymarzyć sobie można...

Dusze nasze, cudowną nicią złączone, rozumiały się wzajem... — siła tajemna przeczuć wiodła nas ku sobie...

Nieraz zdarzało się... dziesiątki mil nas rozdzielały, a ja z całą pewnością wiedziałam... kiedy on o mnie myśli, tęskni i przyzywa ku sobie...

W pocałunkach topiliśmy wzajem dwie nasze jaźnie... czułam się duszą jego duszy... sercem jego serca...

I to wszystko miałoby się skończyć na zawsze? rozerwać... to ogniwo dusz i ciał naszych, tak ściśle spojone?... Ja już istnieć bez niego nie mogę!... Niczym mi świat cały i życie moje...

Co mi po mojej piękności — jeśli ona jemu przestała być miłą i nie budzi już w jego sercu miłosnego dla mnie pożaru! — a i dusza moja,

jak harfa złotostrunna powoli zamiera, gdyż tylko on jeden klucz jej zagadki posiadał i tylko jemu znaną melodję zdolna jest ona wyśpiewać.

Dziką jakąś rozkosz sprawiało Hance zatapianie się w swoim bólu i wspominanie przeszłości.

A Ela zdumiona patrzała na tę, którą przed paru godzinami widziała śmiejącą się rozkosznie i snującą projekty na przyszłość. Jedno spojrzenie człowieka, który dotąd władał jej sercem i duszą, przemieniło ją zupełnie.

Niepowrotne wspomnienie upojeń, doznawanych w jego objęciach, wzburzyło jej krew i rozstroiło nerwy.

Ela bezsilną się czuła wobec tej boleści, która jej łzy z oczu wyciskała. Nie mogła osnuć pajęczą siecią zapomnienia duszy swej siostry, jak nie mogła w przeszłości zapobiec złemu, które się stało.

O zaszłych wypadkach dowiedziała się dopiero z depeszy, zawiadamiającej ją o chorobie siostry, a podpisanej obcą ręką—a i miejscowość, wskazana w depeszy, nie wyjaśniała jej na razie niczego.

W śmiertelnym przerażeniu jechała, dokąd ją wezwano... nie mogąc pojąć, co się stało.

Na dworcu oczekiwała nowa wiadomość: oto Hanka przewieziona do zakładu chirurgicz

2*

nego w celu poddania operacji wyjęcia kuli i widzieć jej dziś nie będzie mogła.

Wylękła, zdumiona, kazała się odwieźć do najbliższego hotelu, gdzie kilka godzin przeleżała w śmiertelnym odrętwieniu. Wieczorem na tyle wysiłku się zdobyła, że pojechała do naczelnego lekarza zakładu, aby go prosić o wyjawienie jej istotnej prawdy co do stanu zdrowia siostry.

Czekała dość długo w saloniku, posławszy swój bilet wizytowy... aż nakoniec poproszono ją do gabinetu doktora Henka. Mgłę miała na oczach, gdy się znalazła w wielkim, surowo urządzonym gabinecie i spostrzegła naprzeciwko siebie wysokiego, szczupłego, o stalowych oczach mężczyznę. Podawszy mu rękę, usiadła wprost, nie mając sił odezwać się do tego człowieka, który jej się zdawał być panem życia i śmierci Hanki.

A i on nie zagajał rozmowy, jakby przez litość nad tą wątłą, bladą postacią.

Aż zobaczył utkwione w siebie spojrzenie dwóch niezapominajkowych oczu, spojrzenie o tak bolesnym i łzawym wyrazie, że zahartowane serce lekarza zadrżało.

Ujął drobną rączkę i uścisnąwszy ją, rzekł głosem, któremu usiłował nadać spokojne brzmienie:

— Operacja udała się... kula wyjęta... atoli powikłania mózgowe przewidziane...—chora przeżyła jakiś łamiący ją wypadek natury moralnej... uczuciowej...

— Zrobi się wszystko, co możebne — dodał, widząc, że na twarz Eli trupia bladość występuje. Pochwycił szybko slaniającą się postać i ułożywszy na otomanie, przyłożył do ust trzeźwiące krople, sam również pod wpływem tej rozpaczy poruszony.

Po upływie kilku minut Ela opuszczała gabinet doktora Henkego, otrzymując pozwolenie zobaczenia nazajutrz siostry, ale musiała wpierw przyobiecać panowanie nad sobą i swojemi nerwami.

Noc całą Ela spędziła, czuwając. Następnego dnia, przybywszy do zakładu, przeszła do pokoju Hanki, poprzedzona przez siostrę miłosierdzia, ale przy samych już drzwiach zatrzymała się, chcąc uspokoić opanowujące ją wzruszenie.

Drzwi uchyliły się, i Ela znalazła się w dość dużym pokoju. Ciemności, panujące tu, nie pozwoliły jej na razie niczego rozróżnić; po chwili jednak zauważyła w głębi leżącą na łóżku postać... oczy wielkie... rozwarte... usta jak krew czerwone... twarzyczkę wychudzoną, tak niepodobną do tamtej, którą znała. Uklękła przy łóżku, pochwyciła rozpaloną rękę w swoje dłonie i przycisnęła do niej usta. Serce jej biło i siły zaczęły ją opuszczać.

Ostrożna dozorczyni wzrokiem i ruchem ręki przywiodła ją do opamiętania.

Bez słów przesiedziała przy Hance godzinę całą, torturując się widokiem ukochanej istoty.

I takich chwil, jak tamta, takich dni przeżyła jeszcze parę. Aż dnia jednego nie została przyjęta o zwykłej godzinie z powodu niespodziewanego pogorszenia się stanu chorej.

Dzień ten Ela do dziś pamięta.

Wróciła z zakładu do hotelu i zamknąwszy się w numerze, ona, tak słodka i wierząca, złorzeczyła Bogu, i ludziom, i życiu...

I serce jej zapałało ogniem zemsty przeciwko tym, co Hankę jej zatracili...

Wiedziała, że dramat, który się w życiu siostry rozegrał, miał za następstwo jej targnięcie się na swoje życie...

Ale kto był sprawcą dramatu?

Kto ją do tego przywiódł?

Od dni kilku już żyła tylko nerwami, nie jedząc, ni pijąc, ani śpiąc. Widmem się być zdawała i siły jej były na wyczerpaniu.

Teraz wiedziała napewno, że Hanki życie już tylko cudem ocalone być może.

Lękała się jutra, co jej ono przyniesie. Może już nie ujrzy nieprzytomnych oczu Hanki... może już nigdy jej głosu nie usłyszy... Męczarnią była jej każda godzina nocy, zbliżająca ją do świtu — do nowego dnia...

Nad ranem, znużona czuwaniem, zasnęła na chwilę. Sen straszny ją zbudził. We śnie Hanka,

w kwiaty purpurowe przybrana, z wieńcem na głowie, wykonywała jakiś taniec bachiczny.

Przebudzona snem, Ela pośpiesznie ubrała się i natychmiast udała się do zakładu. Ale nadspodziewanie dobra wiadomość ją spotkala. Przesilenie choroby przeszlo szczęśliwie i jest już pewność wyzdrowienia.

Elę wiadomość ta znowu omal równowagi nie pozbawiła.

Siostry nie widziała i tego dnia—nie pozwolono zbyt prędko po śnie pokrzepiającym budzić jej i poddawać wzruszeniom na widok ludzi.

Dopiero na trzeci dzień Hanka i Ela zatonęły w uścisku siostrzanym; widok Hanki napełniał radością serce Eli... czarne oczy patrzyły na nią przytomnie i tkliwie... a łzy płynęły zwolna po wynędzniałej twarzyczce.

I zapragnęła Hanka żyć—wyzdrowieć... i siły wracały z dniem każdym.

Ela wielką zasługę w dojściu do zdrowia przypisywała zacnemu lekarzowi Henkemu, który całą swą wiedzę wytężał, aby nie pozwolić zagasnąć tej iskierce życia, jaka tliła w przecudnym ciele Hanki. Jego to starania tryumf odniosły.

Przy pożegnaniu Hanka i Ela wzruszone dziękowały mu za ten dar wspaniały, jakim było ocalone życie Hanki, a którego wartość ona sama teraz ceniła — ona, która je miała za nędzny

łachman w chwili, gdy morderczą broń skierowała w swe serce.

Ale i Henke nawzajem rozczulony je żegnał. Dramat, z którym się zapoznał z bezładnych słów Hanki w gorączce, poruszył jego twardą, szlachetną naturę. Przyjaciel kobiet, w słabości ich widzący przyczynę wielu nieszczęść, nie mógł pozostać obojętnym na bóle i nędze życia, przewijające się przed jego oczami.

A tu szczególniej powikłania natury psychicznej, razem z zagrożonym zdrowiem ciała i ducha u Hanki, zajęły go bardziej, niż to okazał po sobie. Idealista w duszy, miał kult dla miłości prawdziwej i wiecznej, na śmierć i życie, a tego tu miał przykład ze strony kobiety, gdy, przeciwnie, ze strony mężczyzny była nicość charakteru, a co za tym idzie, brak uczuć i uczciwości.

Kłamane uczucia, mające początek w zmysłach, miały zakończenie, będące przyczyną tragiedji Hanki. Tego samego dowiedziała się Ela w jakiś czas później z ust siostry, kiedy ta już była o tyle zdrowa i silna, że mogła mówić o przeszłości. Kochała i była kochaną... w chwili szału oddała się ukochanemu, nie mając sił bronić się.

Trwało to dopóki nieostrożność czy umyślne wywołanie katastrofy przez nią samą, zmęczoną nielegalnym stosunkiem i pragnącą widzieć ko-

chanka — jej oddanego wyłącznie, nie zdradziły jej przed mężem. Następstwem tego była ucieczka z domu do kochanka... Przyjęcie, jakiego doznała, było nieoczekiwane...

Człowiek wytworny, przemiły, gentleman — okazał się ordynarnym brutalem względem tak niedawno jeszcze uwielbianej i pożądanej kobiety, a potraktowawszy ją jak ostatnią, nie szczędząc obelżywych drwin — odepchnął od siebie, jak bezdomnego psa.

W kwadrans potym kula rewolwerowa, kierowana ręką Hanki w serce, przeszyła jej lewe płuco. Cudem tylko uniknęła śmierci.

Pragnąc umrzeć — zmuszoną została żyć.

I dziś potężna siła młodości wróciła jej zdrowie i zgaszoną piękność, potęgując jeszcze jej czar przez wyraz nieuchwytnego smutku w oczach.

Ela, patrząc na siostrę, ma wrażenie, że widzi bezbronne cudne dziecko, wydane znowu na łup życia-molocha, którego ofiarą stać się musi.

Taka pieszczotliwa cudna miękkość cechowała każdy ruch Hanki, taka tęsknota za szczęściem upragnionym promieniowała z jej postaci, że nietrudno było wyczuć, patrząc na nią, iż taka kobieta bez miłości i tkliwości mężczyzny, bez jego pieszczot żyć nie zdoła sama.

Typ to prawdziwy — *la grande amoureuse...* kobiety, dla której miłość jest życiem, kobiety,

stworzonej wyłącznie prawie ku szczęściu i rozkoszy mężczyzny.

Te nabrzmiałe purpurowe usta, wiecznie jakby w pocałunku rozchylone... oczy namiętnym żarem płonące... linja ramion i bioder pieściwa i cała postać, jak kwiat egzotyczny upojna, pachnąca aromatem drażniącym nerwy i pobudzającym zmysły — wszystko to tworzyło typ zmysłowy owych słynnych postaci Żmurki, którego głowy i główki, podobne do typu Hanki, zajmowały całe ściany buduaru.

Taka rozkoszna i taka bajkowa atmosfera ją otaczała. Ten buduar, jej gustem urządzany, którego ściany turkusową ze złotem kryte materją... tejże barwy miękkie kanapki i pufy... żółty z niebieskim kolor dywanu, zaścielającego podłogę... ciężkie, koloru złota story nad drzwiami i cieniuchne złote firanki zabarwiały cały pokój bajecznym przepychem haremowym, a filigranowe stoliczki z czarnego hebanu, zarzucone kosztownemi cackami i oryginalnych kształtów flakonami, pełnemi kwiatów pachnących, czyniły ten przybytek czarująco powabnym tłem dla urody Hanki.

W głębi alkowa za uchyloną portjerą odkrywała białe francuskie łóżko — tutaj już wszystko było utrzymane w kolorze białym, nawet kwiaty w wazonach białe więdły przed białą leżanką... biała skóra niedźwiedzia nęciła puszystym włosem,

a na jedwabnej poduszce leżała książka świeżo rozcięta o treści spirytystycznej, chusteczka maleńka, lusterko w złotej oprawie, na stoliczku zaś obok duża fotografja mężczyzny o zmysłowych ustach, twarzy banalnej i oczach słodko okrutnych.

Pod oknem ogromna biała toaleta, zastawiona całym arsenałem flakonów i flakoników kryształowych, kosztownych figurynek, grzebieni, szczotek, aksamitnych pudełek z biżuterją, na brzegu pudło czekoladek świeżo napoczętych, a dalej na białym krzesełku rzucona biała koronkowa matinée — szlafroczek niebieski — na podłodze aksamitne pantofelki — słowem cały uroczy nieład sypialni pięknej i wykwintnej kobiety, kobiety pragnącej kochać i być kochaną. A Hanka?...

Czyliż pozostanie tu sama, jak ten kwiat cudny, więdnący bez promieni słońca?...

Czy zdoła żyć, jak barwny ptaszek w złotej klatce?...

Ela patrzy na siostrę i myśli biegną jej przez głowę coraz przykrzejsze i smutniejsze.

Naraz Hanka podnosi główkę — złoto-rude loczki okoliły jej twarzyczkę niesfornemi skrętami, oczy płoną, usta mają wyraz dziecka niesłusznie pokrzywdzonego — wyprostowuje zwiniętą ruchem giętką postać i głosem bez dźwięku rzuca w przestrzeń buduaru:

— Znajdę sobie innego kochanka...

A ściany pokoju szeptem, jak echo, powtórzyły: ko-chan-ka.

I był w tym powiedzeniu cały tragizm duszy kobiecej, zdolnej do serdecznego i wiernego ukochania, a zmuszonej przez podłość i zdradę mężczyzny staczać się aż do najniższych krawędzi grzechu... bo nie w każdej duszy kobiecej, duszy ludzkiej tkwi moc do opanowania bólu, do stłumienia i zabicia w sobie przepotężnego pragnienia miłości i szczęścia.

A za oknami wiatr jesienny szalał, i huczał, i wył... drzewa gięły się pod jego tchnieniem szalonym, zimno nocy zaczęło przenikać i do cichego, ciepłego buduarku, gdzie blade światło przysłoniętych lamp elektrycznych rzucało cień na twarze i postacie siedzących w milczeniu sióstr.

Wykwint otaczał te dwie kobiety, zda się, nie stworzone do trudnych warunków życia, otoczone zbytkiem i komfortem, przeznaczone dla szczęścia, jak cudne kwiaty dla rozkoszy ducha i zmysłów.

Kwiaty takie cudnie kwitną w cieplarnianej atmosferze... wystawione na zimno martwieją i więdną, tracą barwy, upajający zapach i świeżość.

Hanka i Ela zastygły tak, jak te woskowe sztuczne kwiaty, zdobiące smutne groby cmentarzy.

Zginęły barwy, spełzł nagle koloryt oczu, znikła ich piękność na chwilę. Zszarzały...

Cierpienie nie zawsze upiększa.

Najczęściej zniekształca ciało i krzywi piękną linję duszy.

Może jest ono nieodzowne w tym naszym istnieniu, ale kiedy przekracza miarę ludzkiej mocy — jest bezużyteczne i szkodliwe.

Swit szarzał...

W buduarze i sypialni Hanki światła pogasły, a jednak długo jeszcze słychać było ciężkie oddechy i westchnienia sióstr — aż póki sen dobrotliwy nie skleił sinych powiek i nie uciszył żałosnych szeptów rozedrganych płaczem ust...

NA MASKARADZIE.

W buduarze Hanki ciemno i cicho — ale w przyległej sypialni wszystkie lampy płoną i słychać ożywione głosy.

Przed toaletą, w lekkim tiulowym negliżu, Hanka z rozpuszczonemi włosami, roześniona — wesoła, ubiera się przy pomocy pokojówki, prowadząc ożywioną rozmowę z siedzącą nawprost brunetką o szarych oczach i ściągłych subtelnych rysach kamei.

— Więc — ciągnie rozpoczętą rozmowę przyjaciółka Hanki — nie namówiłaś Eli na dzisiejszą maskaradę?

— A tak, szkaradny czas stanął temu na przeszkodzie, bo Ela miała szczerą chęć przyjechać, ale mąż jej po przebytej influenzie stał się bardzo ostrożny, i nie chciał narażać się na powtórne przeziębienie.

— Nie mogła Ela przyjechać sama?—rzecze pani Lena.

— Hm, nie wypada jej zostawiać Andrzeja— jest obecnie rozdrażniona i wymagająca ciągłych starań, przytym znasz Elę, jak jest uległa i poświęcająca się—ona siebie nigdy nie bierze w rachubę—myśli tylko o innych.

Całą zimę w tej puszczy dzikiej przesiedziała...

— Święta spędziłam u nich i nie pamiętam nudniejszych—ciągłe karty, hazard przeważnie— to jeszcze tych panów tylko zdolne podniecić, pozatym innej atrakcji nie było, ponieważ nie bawiono się w okolicy, jak zresztą i wszędzie, no więc wyobraź sobie, może tam w tym poważnym otoczeniu.

— Dla Eli to zrobiłam, żem tydzień przesiedziała, ale nie masz pojęcia, z jaką rozkoszą wyjeżdżałam, chociaż jestem do niej bardzo przywiązana.

— O, bo ty, Hanuś, miejsca sobie jakoś znaleźć nie możesz—wszędzie ci źle, nuda wlecze się za tobą.'

W tej chwili zegar wydzwonił dwunastą i to przerwało rozmowę obu przyjaciółek, spóźniona pora przypomniała im, że czas wyjechać z domu, aby zdążyć jeszcze usłyszeć śpiew ulubienicy publiczności... no i stawić się na wyznaczone rendez vous.

Obie czarno ubrane w wykwintne domina, w gazowych turbanach na włosach, czarna maseczka bez koronki odkrywała pełne czerwone usta Hanki — jak również prześliczny owal jej twarzy—maseczka pani Leny pozwalała podziwiać subtelny jej profil i błyszczące jak gwiazdy oczy.

Uwolniwszy się z okryć, śpiesznie podążyły do sali teatru Wielkiego, żeby jeszcze posłuchać śpiewu... Tuż przy wejściu Hanka natknęła się na znajomego... Niewiele myśląc, zdecydowała się zaintrygować go, chociaż nie miała tematu na razie... liczyła na swoją werwę i humor.

Drobna rączka wsuwa się pod ramię i zmieniony głos pozdrawia...

— Ach! Pani tu, a to jakim cudem?

Poznał... Hanka nie daje jednak za wygrane...

Próbuje wprowadzić go w błąd...

Rozmowa ciągnie się na temat wzajemnego obałamucania się, wyciągania na słówka. Wreszcie czar kobiety pięknej u boku działa—tajemniczość drażni. Hanka, przyciskana silnie do boku Wiesława przez tłumy, zaraża się tym prądem ogólnej wesołości i zaczyna gnać, szaleć, wmawia usilnie, że jest damą z demi mondu... towarzysz wierzy, czy też udaje... siadają do stolika... płynie szampan... rozmowa coraz drastyczniejsza, którą prowadzi Hanka, ma na celu przekonanie Wiesława o autentyczności jej pozycji wesołej

damy. Ale szampan zaczyna działać... Hanka czuje, że traci głowę i mówi za wiele... Karowicz szaleje... nalega o zdjęcie maski... Hanka bliska spełnienia prośby—pomimo, że zachowuje się zbyt wyzywająco... rękę ma uwięzioną w dłoni towarzysza—druga jego ręka obejmuje ją wpół... biegnie wzdłuż biodra do nóżki w czarnej jedwabnej pończoszce i atłasowym pantofelku... Hanka płonie i wstyd jej, i lęka się zbytniej brutalności mężczyzny, a uwolnić się nie jest w stanie.

— Idziemy na kolację, maseczko? — nalega Wiesław.

— To się wie—mówi Hanka, z trudnością śmiech tamując.

Ale coraz trudniej wyplątać się z tej gry, bo mężczyzna staje się w uściskach coraz natarczywszy... wreszcie próbuje zdjąć Hance maskę.

Aby go podniecić i usunąć dalej od siebie, jednocześnie Hanka decyduje się odkryć kawałek twarzy—uchylić zlekka maskę.

Ukazuje mu różowe uszko, policzek śnieżny i zakrywa czymprędzej twarz w obawie, żeby nie być poznaną.

To jednak nie był sposób na uciszenie żądz mężczyzny, bo Hanka czuje, że ręka jego w dalszym ciągu błądzi po jej ciele i pali ją żarem poprzez cienką tkaninę sukni—zrywa się więc od stolika i usiłuje zginąć w tłumie. Po drodze widzi uśmiechniętą cynicznie twarz Leona, chwyta

go pod ramię i urywanym głosem opowiada o przebiegu awanturniczej intrygi, prosząc, by pomógł jej ukryć się przed trapiącym ją Wiesławem.

Naraz czuje się wtuloną, wciśniętą w Leona i mgła przesłania jej oczy, krew zalewa serce i mózg.

Nie wie kiedy i jak znajduje się w automobilu — tuż obok najdroższej w świecie dla niej istoty—czuje jego oddech palący na sobie, jego ramię opasuje jej kibić, usta szukają ust i spajają się w zawrotnym, zachłannym pocałunku.

Jak przez sen wysiada przed domem, gdzie wie, że znajduje się jego mieszkanie.

Siły żadnej nie ma, żeby protestować — jest znów w jego mocy...

Wniesiona prawie na schody w ramionach Leona, nie stara się myśleć przytomnie, nie widzi nic, prócz jego oczu, ust—nie czuje prócz dotyku jego rąk, rozrywających w szale jej suknie, szarpiących koronki i hafty bielizny, wreszcie rozkosz aż do bólu, aż do zapomnienia... nieprzytomność, niemoc odczucia siebie samej w nim, ani jego w sobie.

O, niepojęta dziwna mocy. Ty rządzisz światem, a wszystko inne po za Tobą—to próżne sza-

motanie się i zgrzyty. Wszystko jest w Tobie i Ty we wszystkim.

Podlega Tobie i rozum i przenajsubtelniejsze poczucie duchowości w najbardziej wyczulonej jaźni.

Tę noc prześniła Hanka w ramionach Leona.

Owinięta w ciepły szal, siedzi Hanka w swoim buduarze, blada, oczy łez pełne, przed nią na stoliczku książka świeżo rozcięta, list w niezapieczętowanej kopercie i parę biletów wizytowych, przeważnie dawnych znajomych, którzy skwapliwie witali powrót do świata pięknej rozwódki. Ale Hanka dziś nie przyjęła nikogo, czekała tylko jednej wizyty, nie doczekawszy się, nie może zapanować nad rozdrażnieniem, jakie ją ogarnia...

Nie przyszedł Leon...

Widywali się od czasu maskarady przeważnie u niego w mieszkaniu. Hanka nie chciała struny przeciągać zbytnio, czekała, aż póki wpływ jej na niego wzrośnie.

Łudziła się nadzieją, że miłość jego zmartwychwstała, że ona tak mu wrośnie w duszę, tak mu wejdzie w krew, że nie zdoła odejść od niej, jak poprzednik.

O doznanych krzywdach zapomniała....

Moc miłości pokonała żal... duszę... miłość własną i nienawiść za krzywdę i upokorzenie.

Jak szalona piła jego pocałunki i pozwalała czerpać z siebie... całą upojność swoją, czar swój i słodych i ssać nektar przedziwny swych rozszalałych zmysłów...

Aż wreszcie ocknęła się. Leon korzystał z jej uczucia, sam pozostając na uboczu...

Zrobił z niej kochankę... Światło dzienne nie

widziało nigdy jej oczu rozmiłowanych, utkwionych w jego twarzy.

Ciemnościj nocy pokrywały ich szał swoim cieniem...

Nigdy Leon nie przestąpił progu mieszkania Hanny, ani świat nie widział go obok niej.

I Hanka wreszcie przejrzała... Jak ostrze noża utkwione w sercu, myśl ta trapi ją w dzień i w nocy.

— Nie kocha może, lecz korzysta jak samiec z mej rozszalałej namiętności.

— Nie ma mnie za nic, pogardza mną w duszy i śmieje się z mego zaślepienia.

Porywa się Hanka z krzesła i biegnie do telefonu.

Za chwilę łączą ją z Leonem...—„Czy ty?...— Nie. To nie ja... — odpowiada sarkastyczny głos Leona. „Przyjdź zaraz... chora jestem... cierpię, szaleję... sama taka... Lusiek jedyny... jeżeli choć trochę kochasz, przyjdź...

— Nie mogę. Chcesz, przyjdź sama... nie wychodzę dziś z domu...

Hanka zniechęcona kładzie telefon... Zawsze ta sama odpowiedź.

Ciemności zalegają cały pokój... głowa Hanki majaczy na żółtym tle kanapki... ramiona zwisają ku ziemi... omdlewa... szum w głowie... w sercu ból... i łzy po policzkach płyną gorzkie i nie-

ma nikogo, żeby je osuszyć... uciszyć tę rozpacz, jaka ją przejmuje.

On tylko, on jeden, w sekundzie jednej jest w stanie wywołać uśmiech na jej twarzy i uspokoić biedne udręczone serce.

Ale to egoista o sercu oschłym, cynik, mający za cel wysączenie wszystkich słodyczy z kwiatów życia... wyczerpanie czary, użycia do dna...

Smutek, tkliwość... czułość, brr... już go niema...

I Hanka o tym wie i nigdy przy nim nie jest smutna, za to gdy odejdzie od niego...

Cierpi nad sobą i nad swoim sercem zbyt słabym, by odejść i zapomnieć.

Ale to trzeba skończyć...

Pójdzie dziś po raz ostatni, żeby mu powiedzieć, co o nim myśli i czego żąda.

Niech jej nie łudzi i nie zabiera ostatnich marzeń o szczęściu.

Niech jej nie zatraca i nie gubi... jego miejsce przy niej, teraz gdy jest sama—żyć tak dłużej nie może.

Hanka ubiera się szybko, nie zapomniawszy się jednak mocno uperfumować i wybiega jak w gorączce z obawy, czy zastanie jeszcze Leona w domu, gdyż może zniecierpliwiło go zbyt długie oczekiwanie.

Na szczęście jest w domu. Podnosi woalkę, całuje jej zimne usta, zdziwiony wyrazem twarzy.

— Cóż to znów nowego? – mówi, pociągając Hankę na kanapkę—na ich kanapkę, gdzie zwykle niezapomniane chwile trwali przytuleni do siebie.

Ale Hanka odpycha go... Pierwszy raz przez mózg jej przebiegła myśl straszna: ile tu kobiet na tej jego kanapce takie chwile spędzało?... Jakich orgji była świadkiem ta jego otomana... a łóżko za portjerą ukryte? czyż nie zawiera tajemnic przeżywanych na nim mnogich, coraz to nowych rozkoszy?...

I ileż to kobiet może tu w tym jego zacisznym mieszkanku, przed nią i po niej—Hance—grzebało swój honor, swoją opinję... uczciwość... gwoli rozkoszy i zadowoleniu tego oto samca, patrzącego teraz na nią ze zdobywczym, pewnym siebie uśmiechem...

Hanka czuje nieprzepartą chęć podejść i plunąć w twarz temu człowiekowi, którego nicość moralna przeraża ją i pogardą nietylko dla niego, lecz dla niej samej także napawa...

Jakże ona mogła go kochać... uwielbiać.. stawać się jego własnością, duszę mu swoją słać pod nogi... Ona — ta dumna Hanka — za której uśmiech życie by oddał niejeden.

Co za czar!... co za opętanie!... Leon patrzy

na Hankę i nie rozumie wyrazu jej oczu, utkwionych w sobie oczu zimnych, badawczych!...

On tego nie lubi.

On chce mieć jej oczy przed sobą, zachodzące mgłą miłosną... Jej usta nie te zacięte, szyderskie, lecz krwią nabrzmiałe, słodkie, jak miody leśne...

Podchodzi do Hanki, wciśniętej w miękki fotelik i siada na jej kolanach... magnetyzując ją dotknięciem drapieżnych rąk, przyczajonym wyrazem oczu, pełnym żądzy.

Ale Hanka usuwa się... Postanawia być zimną i mówić z nim stanowczo... ale już przy pierwszych słowach, jak zwykle, Leon zaczyna ironizować rzecz całą, wyszydzać i w końcu zbliża się znów do niej, by wszczepić w jej usta zmysłowy pocałunek, a ręce jego zwykłym zaborczym ruchem pozbawiają ją reszty sił i przytomności.

Jest znów jego rzeczą—jego własnością...

O wszystkim innym zapomina...

Dzwonek telefonu budzi ją z miłosnego zapamiętania...

Leon podchodzi do aparatu. Hanka słyszy głos jego — rozróżnia słowa z drugiego pokoju dość wyraźnie.

Naraz coś zrywa ją z miejsca. Hanka podnosi się, wbiega do pokoju, gdzie Leon stoi przy aparacie i, niepostrzeżona, słyszy dość swobo-

dną rozmowę z kobietą... Łudzić się niepodobna... Z toku rozmowy widać, co łączy tych dwoje ludzi. Otrzeźwiała — wraca do sypialni... Zdrętwiały jej nogi... boi się upaść i zemdleć... serce tłucze się w niej, jak ptak raniony, zamiera.

Z swobodną twarzą wchodzi Leon po krótkiej chwili i zbliża się porywczo. Do ust Hanki chce usta przyłożyć...

Jak przebudzona, zrywa się Hanka, odpycha go ruchem, wymownej pogardy pełnym i rzuca:

— Idź do tej... tam... ode mnie precz!...

Nie zdetonowany bynajmniej, stara się uspokoić Hankę pieszczotą.

— Cóż znów za dąsy... to rzecz zwykła... zresztą cóż to jest wobec wieczności—mówi żartobliwie, starając się pociągnąć Hankę ku sobie.

Ramieniem przyciąga... wtula... wciska ją w siebie... pocałunkiem, żaru pełnym, zamyka jej usta, pocałunkiem bierze ją całą od stóp do głowy, aż zaczyna mu odpowiadać tą samą falą pieszczotv dzikiej, nieprzytomnej, szalonej...

Szał przeszedł... Hanka siedzi nawprost Leona możliwie spokojna i, mierząc go spojrzeniem, pełnym smutku bez granic, mówi:

— Luśku! tak dalej być nie może... Mówię spokojnie, bez wybuchów: po raz ostatni tu je-

stem, o ile nie będziesz liczył się ze mną. Nie zniosę takiego traktowania... nie zniosę zdrady i cynizmu.

Moim tylko będziesz i niczyim więcej, lub odejdę...

Ja także oddam się innemu... żeby zabić pamięć o tobie, żeby się odgrodzić od ciebie hańbą i nawet życie oddam za to, żeby nie trwać w takiej zależności od ciebie... żeby cię przestać kochać... Kiedy ty moją miłość ku wygodzie tylko swojej używasz... depczesz mnie... brudzisz ustami, które za chwilę inne ciało kobiece całować będą i pieścić może w ten sam sposób, co i mnie...

Pogardzam sobą i żyć nie chcę tak dalej...

Luśku! ostatni raz całowałam twoje usta... ostatni raz, przysięgam ci, miałeś mnie dziś w swojej mocy... o ile nie zobowiążesz się do takiejże wierności względem mnie, jaką ja ci dotrzymałam dotąd, pomimo twej zdrady...

Bezmyślna twarz Leona głuchą złość i nudę tylko wyrażała i Hanka, patrząc na niego, umacniała się coraz bardziej w postanowieniu odejścia i zapomnienia o nim na zawsze.

To wszystko było zbyt wstrętne.

Miłość własna, upokorzona i zabita, upominała się o swe prawa.

Pożegnała go zimnym uściskiem ręki, nie zwracając uwagi na pewną siebie minę Leona, która jakby zdawała się mówić:

— Wrócisz!... prędzej czy później... i pogodzisz się ze wszystkim...

Odeszła.

W GABINECIE.

Bocznym wejściem do jednej z wykwintnych restauracji wchodzi elegancka para.

Kelner, schyliwszy się w ukłonie, otwiera drzwi gabinetu i przepuszcza oboje, nie omieszkawszy rzucić okiem na zakwefjoną damę, której tylko oczy strwożone, błyszczące ogniem gorączkowym, mógł dojrzeć z po za gęstej koronki, twarz zakrywającej.

Elegancki pan pośpiesza przy pomocy kelnera rozebrać panią z okrycia i wtedy oczom sługusa ukazuje się smukła, giętka a pełna postać uroczej blondynki.

Pąsowy crèpe chiffon okrywa jej kształty, główka uczesana w loki à garçon, szyjka biała wynurza się ze złotego obramowania sukni, kusząc swym kształtem i białością. Ruchy cokol-

wiek niepewne, jak gdyby skrępowane niezwykłością sytuacji.

Mężczyzna, silny brunet, z czarną jedwabistą brodą, szczupły, nerwowy, o oczach pełnych ognia i ustach zmysłowo wywiniętych. Wyrafinowanie elegancki w każdym gieście i ruchu.

Przegląda podaną kartę restauracyjną i zarządziwszy odpowiednie zlecenia kelnerowi, po odejściu tegoż, śpiesznie zwraca się do młodej kobiety, siedzącej na maleńkiej na dwoje kanapce, poważnej i zdenerwowanej.

— Pani Hanno! a to co za humor; czy po to tu przyszliśmy, by siedzieć oboje zdaleka i podziwiać deseń obicia na ścianie?

Siada przy Hance bliziutko, tuli jej rękę i owiewa ją swym oddechem, starając się spojrzeć w jej oczy.

Kobieta usuwa się, o ile na to pozwala szczupłość miejsca i stara się delikatnie uwolnić z jego objęcia.

Ale napróżno. Mężczyzna, jak w kleszcze ujął całą postać kobiety, ucałował usta, oczy, szyję i wabiący dekolcik, nie zwracając uwagi na wyraźną niechęć z jej strony.

Oswobodziwszy się wreszcie, Hanka wybucha nerwowym śmiechem, maskując tym zakłopotanie, lęk... i wstyd ogarniający ją.

Wszakże zgodziłam się tu przyjść, a zatym powinnam ponosić konsekwencje tego kroku...

— Prawda, panie Wiesławie? Grajmy dalej komedję namiętności, bo przecież czymś upozorować trzeba to nasze — ni stąd, ni zowąd — sam na sam.

Nie jesteśmy zakochani... a zatym to jest chyba żart karnawałowy, dalszy ciąg intrygi maskaradowej...

Coraz większe zdenerwowanie ogarnia Hankę, coraz gorszy czuje niesmak i prawie żal do siebie za swoją chęć oszołomienia się i zabicia pamięci o tamtym.

Ale mężczyzna zamyka jej usta pocałunkiem i szepce gorąco:

— Ależ ja panią kocham... oddawna marzę o pani, takiej chwili pragnąłem doczekać, by móc powiedzieć ci, Hanko, wszystko, co czuję, co myślę...

— Tak! — wybucha Hanka z goryczą — i dlatego wybrałeś pan gabinet?

Wejście służącego przerwało tę zbyt drażliwą rozmowę...

I nagle opanowuje Hankę dzika jakaś chęć zabawy i szału... zaczyna pić, wbrew zamiarom, aby tylko odmienić smutny nastrój i w błyskotliwej wesołości zatopić myśli zbyt przykre.

Pije sama i namawia Wiesława.

Oczarowany jej wesołością i werwą, staje się coraz śmielszy, skłonny do wynurzeń i nagle Hanka widzi, że nie znała dotąd tego człowie-

ka — raczej znała go zbyt powierzchownie... teraz widzi, że po za błyskotliwą powierzchnią kryje się dusza... może nawet mająca cechy wspólne z jej duszą — rwącą się w pogoni za szczęściem tak bezskutecznie...

I przez mózg jej przebiega myśl nagła: a może to ten oczekiwany przeze mnie? może w nim ziści się moja tęsknota miłosna? pocałunki jego przenikają ją coraz bardziej, jego wzruszenie udziela się jej... wreszcie sama zarzuca mu ramiona na szyję i, przytulona do niego, staje się uległą i cichą.

Słowa miłości z ust mężczyzny zaczynają ją upajać, odbierają jej przytomność. Wino zaczyna działać i oto Hanka jest już bliska krawędzi nowego upadku...

Wzdrygnęła się naraz... nie chce się poddać... zbiera resztki przytomności i wyrywa się... szarpie... sili się wreszcie na podstęp.

— Nie tutaj!...

I mężczyzna przekonany naraz, czy uspokojony obietnicą, ustępuje...

— Pij, Hanko! — prosi Wiesław, dzwoniąc jednocześnie na kelnera i butelki znowu pojawiają się na stole...

Hanka czerwienieje pod ukradkowym wzrokiem lokaja, mierzącego pożądliwie jej odkryte ramiona... rozpiętą na plecach bluzkę...

Pije znowu... pocałunków nie odpycha... za-

czynają ją one przekonywać do Wiesława... jego dziki wprost szał, z jakim ją pieści, przemawia do jej natury, równie gorącej w pieszczotach i trudnej w zaspokojeniu... nie analizuje już nagłości faktu — bez przygotowań wstępnych... bez poprzedzających starań o zdobycie jej wzajemności, bez całego arsenału środków, jakiemi mężczyzna z jej świata stara się pozyskać upragnioną przez siebie, taką jak ona kobietę.

Wino zamąciło jej zmysły i nie ma już sił do oporu... nawpół ulega, znajdując w tym rozkosz czysto zmysłową, pierwotną, dziką...

Naraz widzi jak przez sen, że światło raptownie gaśnie... i czuje jednocześnie, że dłużej nie zdoła panować nad jego szałem i swoją słabością...

— Najwyższy czas wyjść — mówi Hanka, pociągając Wiesława do wyjścia. Ten ulega. Wychodzą...

Powietrze otrzeźwiło Hankę...

Próbuje zebrać myśli, zorjentować się w sytuacji...

Aha! już wie...

Oto ona, Hanka, jedzie do hotelu z mężczyzną, dotąd dla niej obcym, żeby ulec jego żądzy, którą sama podnieciła i może wywołała.

Wydostać się z tej matni nie można—byłoby głupio i śmiesznie. Musi zostać kochanką tego pana.

Spogląda z boku na Wiesława i widzi twarz

jego tak jej obojętną i nie kochaną... i lęk ją ogarnia coraz większy i czysto dziecięca skarga na usta jej się ciśnie...

— Sama jestem winna—myśli Hanka—tak, ja, która zrobiłam sobie zabawkę z tego człowieka, żeby swoje serce zdeptane czyimś bólem uciszyć...

Chciałam... żeby on kochał, cierpiał, szalał... a ja z daleka, jak widz obojętny, przyglądałabym się temu widowisku.

Ale przebieg tragikomedji okazał się inny od tego, jaki sobie obiecywałam.

W tej chwili dorożka stanęła przed hotelem i Hanka wkrótce znajduje się w eleganckim apartamencie, składającym się z trzech pokoi. Wiesław melduje ją... jako swoją żonę. Wobec służby pozory zachowano...

Zostają sami.

Rozmowa nie klei się... Przytym Hanka zachowuje pozycję obronną... co na chwilę powstrzymuje mężczyznę...

Spogląda na jej bladą twarzyczkę, na oczy smutku pełne i jakoś mu nieswojo, dziwnie wobec tej kobiety, której ciałem chciał zawładnąć tak prędko.

Tam udało mu się upoić ją winem — tu oprzytomniała jest mu dziwnie daleką... rwie go coś do niej, ale jakaś obawa paraliżuje jego ruchy.

Sam przechodzi do sypialni, zdejmuje tużurek, wyjmuje drobiazgi z kieszeni, zegarek, pieniądze, papierosy, rewolwer...

Kładzie to wszystko na nocnym stoliku... gorączka zaczyna go ogarniać coraz większa... w oczach czerwone płaty... zamęt w mózgu... Chwila... i oto już porywa Hankę w ramiona, niesie do sypialni... rzuca ją na łóżko i stara się rozerwać zapięcie stanika i sukni... Kiedy naraz, odepchnięty drobną rączką w tył, zatacza się na stojący obok łóżka stolik, traci równowagę i pada. Jednocześnie Hanka porywa leżący rewolwer... przykłada do ust... naciska cyngiel i z cichym szelestem osuwa się na podłogę...

Jak piorunem rażony — stoi Wiesław nad martwą Hanką, w sekundzie powróciła mu przytomność — — dotyka ręką serca — bić przestało.

Pierwsze gorzkie łzy mężczyzny spadają na twarzyczkę Hanny... twarz dziwnie spokojną — uśmiechniętą... Znikł niepokojący jej wyraz, bolesny prawie w kącikach ust wygiętych... opromienia ją błogość nadziemska i szczęśliwość bez granic...!

Wiesław podnosi drogi ciężar, układa na łóżku... klęka... całuje ze czcią nabożną zwieszoną rękę zmarłej... potym z całym spokojem podnosi leżący na ziemi rewolwer, sprawdza, czy nabój nie zawiedzie... i przykłada broń do serca...

ZE ZNALEZIONYCH LISTÓW.

Lili,

O, nędzna słabości! Kiedy usłyszałam głos jego—choć tylko przez tubę telefonu—bezwolna się stałam i tak zahypnotyzowana dźwiękiem słów, że, zapominając o wszystkim — dałam przyrzeczenie spotkania się i wiele, wiele rzeczy wyrzekłam, tak głęboko utajonych w duszy, a rozbłysłych na nowo pod czarem wspomnień.

-- I cóż Ty na to, Lili? Wszakże Ty pierwsza ostrzegałaś mię przed nim, gdy spragniona miłości i życia, oszołomiona żądzą rozkoszy, nie mogłam sądzić chłodno i krytycznie. Ale przypomnij też sobie, gdy mię osądzisz, żeś Ty może popchnęła mię w jego objęcia. Od pierwszej chwili wiedziałam, że się nie oprę i czy pa-

miętasz jak spłakana wyznałam Ci całą prawdę, prosząc o pomoc, radę i obronę, boś Ty silniejsza i trzeźwa i duszę masz przepaloną w ogniach prób i cierpień przebytych.

O Lili, jakże ja ogromnie bałam się tej jego mocy nade mną! Przyszła chwila straszna i cudna... porwał mię jak swoją, wziął jakby dla niego przeznaczoną. Nie pomogły łzy i prośby, ani mój opór, opór słabej kobiety wobec silnego mężczyzny, a zarazem opór kobiety, która kocha. O, czemuż nie zabił mię lepiej wtedy, czemu, widząc w twarzy jego nieubłagany wyrok, nie zdecydowałam się raczej umrzeć, niż ulec. O, marna słabości, czemu tak kocham życie, że mię przeraziła czarna nicość, w której się miałam pogrążyć.

Uległam więc, drżąca obawą śmierci, i, o, zgrozo, pragnieniem rozkoszy zarazem, jaka mię w jego objęciach czekała. Oddałam mu się zrezygnowana, nieprzytomna. Ach, Lili, ja nie wiedziałam dotąd, czym jest to wszystko, czym się stać może, ja, mężatka, żona,—ja, która z zaciśniętemi zębami, szepcząc słowa buntu przeciwko życiu, poddawałam się zmysłowej żądzy mego dotychczasowego władcy i pana. O, jakież tamto było okropne, jakie brzydkie! A teraz odkrył się przede mną nieznany świat przepastnych upojeń obłędnego szału aż do śmiertelnej niepamięci, spazm rozkoszy aż do bólu i wielkie ciche uko-

jenie. Harmonja duszy i ciała. Miałam zamiar oddać tylko ciało, a w pocałunkach szła ku niemu i dusza moja, przeczuciem nadziemskim wiedziona, a może pragnieniem wchłonięcia w siebie jego tajemnej, nieznanej mi jeszcze jaźni.

A potym, potym trwoga, i niepokoje, i dalszy ciąg cudnych wrażeń, i chwile refleksji, i, nadewszystko, zdobyte przeświadczenie, że do niego należę i że on również jest moją własnością, której wydrzeć sobie nie dam, i nareszcie straszna rzeczywistość, która spadła na mnie jak grom...

Wtedy dopiero uczułam, że jestem bezbronna. Wobec faktów, nie przewidując możliwości takiego położenia, straciłam równowagę umysłu. Myślałam, że oszaleję.

Gdzież się podziało kochanie moje cudne, gdzie wiara w stałość jego, pewność, że nie porzuci mnie w dwuznacznej sytuacji: mężatka, nie żyjąca z mężem i—spodziewane macierzyństwo. Wtedy dopiero poznaje się ukochanego mężczyznę, gdy przyjdzie taka chwila próby. Niejedno serce kobiece pęka wówczas z bólu, niejedno istnienie łamie się na zawsze, niejedne oczy osłoni mrok śmierci.

Nie wiesz, com ja wtedy przeżyła: za dumną byłam, żeby Ci o tym opowiadać. Po raz pierwszy może poznałam, czym jest ból i rozpacz. Płakałam nad trumną ojca, jedynego człowieka, któ-

rego kochałam na ziemi, a jednak łzy nie wypaliły takiej rany w sercu, jak teraz, kiedy kładłam w grób miłość, wiarę w ukochanego, a zostawałam sama z hańbą i upadkiem. I nikogo obok siebie. Jęku wydać nie wolno, bo zdradzi, lękać się nawet trzeba, aby przez sen usta nie wydały strasznej tajemnicy i nie mieć jednej, jedynej choćby istoty ludzkiej, przed którą możnaby było zrzucić jarzmo bolesnych zwierzeń. I Tyś odeszła ode mnie, i wszyscy ci, co byli mi życzliwi, co na miłość moją patrzyli—znaleźli się zdala ode mnie. Zostałam sama.

Płynęły godziny nocy, a ja przeżywałam na nowo całą tę gehennę bólu i rozmyślałam nad tym, czemu ten dach mężowskiego domu nie spadnie na mnie, wiarołomną, z zadatkiem cudzej miłości w łonie, tak spokojną na pozór i tak zazdrośnie strzegącą tajemnicy swych oczu i ust. Czekałam tylko chwili, kiedy rozpacz i zdenerwowanie wezmą górę nade mną, i wydrę sobie z piersi tajemnicę i rzucę ją w oczy mężowi. Niech wiedzą wszyscy i niech się dopełni miara mego upokorzenia!

Takie cudne, takie kochane mogło być, a stało się nieszczęściem i hańbą.

. O, losie!... Gdyby on nie był odszedł, jakaż byłabym dziś szczęśliwa, choć z widmem złamanego życia człowieka, do którego byłam przykuta.

O, tak, niewielki przedział między szczęściem a nieszczęściem,—tylko wierność i stałość męska, tylko poczucie odpowiedzialności za złamane istnienie dwojga istot, do niego należących.

Co się dalej stało, wiesz już przecie, bom wzywała Cię do siebie, pewna będąc, że umrę albo oszaleję. I niczego już mi potym nie było żal, niczego: ani, żem zdradziła tajemnicę—ani, żem zhańbiona i osamotniona, lecz, że w chwili rozpaczy zdecydowałam się zniszczyć cudny kwiat mej miłości... Tarzałam się z bólu, poznając, że wtedy już kochałam ten mój wstyd, to moje potępienie. Zaczęła się dla mnie druga część moich udręczeń.

Znienawidziłam sprawcę mych cierpień. Nie za siebie, lecz za ten cud, który mi dał, a który zginął przez niego. Tęskniłam i płakałam za straconym ukochaniem i chciałabym była zdeptać własne serce, co o zdrajcy zapomnieć nie mogło.

Aż dziś, zasnuta w mgłę wspomnień, siedziałam w mrocznej ciszy pokoju, gdy z zadumy wyrwał mię dźwięk dzwonka telefonicznego. Podeszłam. Resztę już wiesz.

A teraz jedno jeszcze. Co stanie się, jeżeli zobaczę tego człowieka? Jego moc nade mną nie przeminęła, kocham go tak samo, jak przedtym!...

Ina.

Lili,

Teraz dopiero chciałabym zemścić się nad nim, ale to tak pierwotnie — dziko, lub jaknajwyrafinowaniej, wydrzeć mu nikczemne fałszywe serce z piersi, lub jak prosta nieokrzesana dziewczyna, biedna zdradzona szwaczka, oblać wytryolejem twarz jego lub szczęśliwej wybranki. O, tak, dobrze uczyniłaś przestrzegając mnie o tym; rzeczywiście byłby skandal bezużyteczny — czuję, że niezdolnabym była pohamować się i postąpiłabym wprost ordynarnie, ja, dość subtelna w obejściu, jak mi to mówią ogólnie.

Trudno, stało się. Walczyć i zdobywać można coś, ale nie takie nic, jakim on się dziś okazał.

Swoją drogą ból i złość dławią mię.

A niechże idzie już teraz, a ja może sprobuję wejść na ton poprzedzający mój upadek — czyli znowu odgrywać wobec świata rolę sfinksa z kuszącym uśmiechem na ustach, z wyrazem pół pragnienia i nieokreślonego oczekiwania czy tęsknoty w oczach.

A chociaż pod uśmiechem kryć się może będą bardzo smutne łzy i chociaż pod powłoką rozkosznej niedbałości serce krwawić będzie wspomnieniem przeżytych cierpień, lecz przecież nikt się tego domyślać nie powinien.

Tak samo jak mnie podeptano duszę i serce, tak i ja teraz postępować będę.

Ach, deptać w szale po karkach dumnych Panów świata i z rozkoszą patrzeć na ich żądzę, którą podniecać, lecz nie zaspokajać będzie odtąd mym celem.

Przebacz mi, Lili, że karmię Cię wizją bestjalską mych nerwów, ale mówi przeze mnie rozpacz.

Zresztą cóż mam teraz ze sobą uczynić? Stracona jestem na zawsze dla rodziny i świata— dziś mi już nic nie zaszkodzi ani pomoże — wybryki moje dziś już tylko niezdrową ciekawość budzić mogą, a nie potępienie.

Od chwili, gdym zerwała ze światem, t. j. przeszła do przeciwnego obozu, do szkoły Epikura, inaczej *demi monde'u*, jestem już tylko bardziej może pożądaną dla tych, dla których kobieta uczciwa stanowi nieciekawy okaz.

Mężczyzni, którzy mię zrazu potępili za opuszczenie domu, a zdawna już czyhali na stosowną chwilkę, by mię ujrzeć wykolejoną, obecnie mając drogę wolną, pierwsi znaleźli się u celu: u moich stóp.

Kobiety znowu z naszej sfery nie rozumiały mię nigdy ani ja ich nawzajem. Wobec ich pojęć, jeżeli można żyć w zbytku i wygodach, mając stanowisko w świecie, majątek, męża, starającego się dogadzać wszelkim kaprysom, to już nie powinno tęsknić się za niczym, ani rwać się do nieokreślonego. A że potym moje projekty i zada-

nia nie świetny sukces wydały, bo prócz hańby, którą się okryłam, nic mi więcej nie przyniosły, więc naturalną rzeczą, żem zasłużyła na potępienie z ich strony. Ale, czy myślisz, że mię to wzrusza? Bynajmniej. Przeszłam już takie cięgi przez ten krótki czas, że stałam się, jak kamień. Wszystko przeszło — załamało się coś pode mną. I te cudne rojenia o sztuce, która przy bliższym jej poznaniu ukazała mi się już bez aureoli, w jakiej ją w uniesieniach widywałam. Jest ona jak kobieta zbrukana dłońmi tych, co do niej dostęp mają i zarażają ją swym zepsutym tchnieniem. O, ci jej kapłani!

Gdybyś wiedziała, co ja przeżywam obecnie! Już nie walczę z losem — poddaję mu się bez oporu, zabijam do reszty swoje dawniejsze ja. Nie myśl, że pragnę Cię roztkliwić swoją dolą — nie dążę do tego, a nawet rezygnuję z Twojej przyjaźni.

Ty jesteś po innej stronie: obecnej Reny teraz znać nie możesz. Nie dla mnie wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa i czystej młodości,—ale, nie lękaj się, ja już nie tęsknię i nie pragnę, by wróciła.

Jest mi obecnie dobrze. Mam nowy świat, w którym żyję, dość zajmujący i ciekawy. I tu są burze i namiętności, i tu można mieć oddanych przyjaciół. W moim salonie mam dobór wykwintnej młodzieży i podtatusiałych amatorów, sypią-

cych złotem. Damy mniej wykwintne, ale ciekawe. Fiś, rozrywany przez damy ze świata — u mych stóp, jak bryś spętany, zapatrzony w me oczy, gotów przysiąc, że mię kocha. A wszyscy inni krążą, jak satelici — czekając na promień łaski z mej strony.|

Bo w całym tym otoczeniu wciąż zachowuję pozory damy i nie przekraczam subtelnej granicy; mam umiarkowanie, że tak powiem; popełniać ujmująco rzeczy brzydkie — oto moja obecna filozofja.

Jedno tylko marne w moim nowym życiu, że piję więcej, niżbym chciała. Piję, aby zalać szampanem żrące myśli i bolesne przypominki. To, też często na jakiejś zbyt wesołej uczcie wpadam w szał, piję bez opamiętania, następnie popełniam wiele głupstw — ale uspokajam się szybko. Na drugi dzień dopiero, jako trofea podaje mi Fiś porwaną kolję brylantową — poszarpaną suknię i pokazuje ślady zadrapania na Jego pięknym obliczu. Podobno staję się okrutną, jak pantera i to mię niepokoi, jako objaw histeryczny. Chociaż Fiś uspokaja, że to temperament.

Ale następnego dnia jestem już spokojna i jadę, jak zwykle, o 4-ej na spacer w Aleje własnym powozem z lokajem, a jakże, i kredyt nieograniczony u Hersego mam, codzień szampańskie piję, tak! No i cóż Ty na to? Czy może być wspanialsze przeżywanie się? Przy tym wszystkim Fiś

niezbyt wymagający, bo wiele sam nie może, a ja, gdy fala wspomnień przypłynie i mała samotna mogiłka jak widziadło w oczach mi stanie, telefonuję do moich przyjaciół, przyjaciółek, i w parę minut kieliszki brzęczą i zabawa wre aż miło... No, ale Ty, Lila, nie będziesz się za mnie wstydziła. Wszakże nas już mur nieprzebyty rozdziela. Dwa światy. Addio!

Rena.

Lili,

Nie śmiem Cię prawie tak nazywać, przyzwyczajenie z lat dziecinnych wyrwało mi z ust to słowo, to imię drogie, którym Cię nazywałam, gdyś mnie nieraz płaczącą nad złamaną zabawką tuliła. A jam dziś życie stargała i nie mam łzy jednej dla siebie.

Ale nie myśl, żem tak nisko upadła z własnej winy. Wszystko składa się na to, żeby mię jaknajgłębiej pogrążyć.

Nie byłabym Cię może moim pismem nudziła, gdyby nie to, że czuję się od kilku miesięcy niezdrową. Za bardzo tej zimy wyczerpałam swoje siły, wiosna mi nie posłużyła, a lato, spędzone w Monte-Carlo, też zbytnio sobie urozmaicałam, aż teraz jesienią marzę o wyjeździe na kurację, bo lekarze niepochlebne horoskopy co do mego zdrowia i przyszłości stawiają.

A że w ciszy żyć bym już nie umiała i nie chciała, więc jadę nabrać trochę sił. Dusza chora chce zawładnąć ciałem, dotąd kwitnącym zdrowiem. Tego zwycięstwa nie pragnę.

A przytym wczoraj spotkał mię nieprzewidziany wypadek, który mi nerwy coś nadto rozstroił.

Było samo południe, kiedy, siedząc w gabinecie, przeglądałam świeżą rolę.

Naraz dzwonek... Za chwilę służący podaje mi bilet z nazwiskiem Ada... Własnym oczom nie wierzyłam. On tu?

Kazałam prosić. Wszedł poważny, spokojny aż do cynizmu, na zaproszenie moje usiadł na fotelu. Ja na kanapce wprost niego—i siedzieliśmy tak chwilę, obserwując się nerwowo.

Drżałam jak w febrze, ale nie okazałam tego po sobie—byłam spokojna, chłodna jak marmur.

Zaczął mówić o jakimś projekcie wyjazdu, następnie o rzeczach zgoła obojętnych. Odpowiadałam jak we śnie, wciąż napół przytomna. Naraz nieoczekiwanym ruchem przesiadł się do mnie na kanapkę. Był pod wpływem mojej urody, moich ramion, gazą tylko przykrytych—podniecał go znany mu dawniej zapach moich perfum... wszystko to wyszeptał zbielałemi wargami.

A ja narazie tak dalece nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, że spostrzegając go klęczącego mi u nóg i ramiona opasujące mię

jak zdobycz w swoje objęcia, nie widziałam nic, prócz jego drogich, a słodkich oczu i czerwonych ust, któremi wszelki mój opór przełamywał zwykle bez trudu. Czy to może przeszłość ułudna powraca, a reszta—jedynie męczący sen?

Nachyliłam usta do jego ust, lecz w tejże chwili uczułam jakoby zimnego węża przy sercu i usłyszałam jego syk: „oto twój i twego dziecka morderca, sprawca twej hańby, kat, który cię wydał tłumom na łup; utul że go, a mocno w twych ramionach, wszak już dziś ci to różnicy nie zrobi".

Zerwałam się blada, ale spokojna.

Wskazałam mu drzwi, a sama czymprędzej wybiegłam, jakby w obawie, że pomimo wszystko przywołam go, padnę mu w ramiona, i stanę się bezwolną, jak dawniej.

Ale za to w chwilę później, gdy usłyszałam zatrzaskujące się za nim drzwi, miałam okropne wrażenie, że to wieko trumny zatrzaskuje się za mną.

Chciałam wybiec, zawołać... Za późno. Ach i czemu do końca nie wysłuchałam tego człowieka, dowiedziałabym się może, co go skłoniło do odwiedzenia mnie.

Mój drogi, jedyny, był przed chwilą! Klęczał przede mną, a ja, szalona, odepchnęłam go, nie słuchając nawet. Może on przyszedł wyciągnąć mnie z tego błota, w jakim żyję, naprawić zło, przez siebie popełnione, a ja, nieszczęsna,

odrzuciłam ostatnią deskę ratunku. Wszak tylko on, a nie kto inny, jest w możności ocalić mię. Po za nim żadna potęga ludzka tego nie dokona.

Widzę teraz jasno, jakbym w wieczność patrzała, że kocham go do dnia dzisiejszego. Teraz nie wróci, a ja jestem za dumną, by go przyzwać.

A może inna myśl powodowała nim?

Może jest tak marny, że chciałby teraz z upadku mego korzystać?

Nie, nie! Jednak to możebne... Tej myśli nie przeżyję!

Ostatni raz piszę do Ciebie. Nie przeklinaj pamięci mej i pomnij o mogiłce mego maleństwa.

Ina.

Następnego dnia w miejscowych dziennikach czytano poniższą wzmiankę:

Samobójstwo aktorki.

Około godziny 6-ej wieczorem znaleziono sztywne już ciało młodej i pięknej p. S. Hańskiej we własnym mieszkaniu przy ulicy ***. Kula przebiła skroń, sprowadzając śmierć natychmiastową.

Przyczyna samobójczego kroku niewiadoma.

JEJ DZIENNIK.

7 lipca.

Siedzę na tym słonecznym piaszczystym wybrzeżu morskim, odosobniona od wygrzewających się na słońcu rodzin, zadowolonych szczęśliwych matek z dziećmi i całego szeregu ludzi, z któremi nie łączy mię nic.

Wolę samotność i ten oto dziennik, który mi wszystko zastępuje w chwili, gdy myśli jak stado ptaków okrążą głowę i pragnęłabym komuś bliskiemu żalić się o tym, co mię boli i wzrusza.

A że wszystkie moje myśli biegną do Ciebie, drogi, więc i tęsknota moja tym się jedynie koi, że piszę i marzę o spodziewanym Twoim powrocie, a więcej nic mi do szczęścia nie trzeba.

Bo i cóż mię obchodzą Ci, których spotykam na samotnych przechadzkach? Każdy z nich ży-

je dla siebie i rodziny, po za tym ci, co są z nimi w styczności, służą tylko dla uprzyjemnienia życia lub przepędzenia czasu. Egoizm zmusza ich do szukania towarzystwa innych, bądź dla okazania swych zalet, bądź dla wyzyskania w ten lub inny sposób swych znajomości.

Rezultatem mdła banalność, powierzchowny blichtr, a na dnie ogólny brak serca.

I co mi po tym? Zresztą wszystko to są ludzie, liczący się na ogół z opinją — dla nich ex-śpiewaczka kabaretowa, choćby obecnie przyjaciółka jednego z najbardziej wpływowych i ustosunkowanych w świecie ludzi, zawsze będzie istną kompromitacją. I wiem, że nawet ślub oficjalny, jaki ma nas połączyć, nie zatrze przeszłości mojej i nie zapełni przepaści, jaka mię od tych ludzi oddziela.

Dlatego też nie szukam ani towarzystwa pań, skwapliwie zajętych robótkami i śledzących z rozkoszą swoje pluszczące się w wodzie pociechy, ani panów, którzy z ciekawością i zachwytem zapuszczają spojrzenia w stronę mego samotnego kosza, radzi przeniknąć otaczającą mię tajemnicę.

Dobrze mi jest w mej samotności. Pławię się w słońcu od rana, potym idę na spacer wzdłuż brzegów morza, zachodzę do jakiej samotnej rybackiej chaty, probuję nawiązać kontakt między sobą, a ubogiemi mieszkańcami, lecz mi się to

nie udaje, gdyż język ich, choć zbliżony do naszego, dziwnie jest mi jednak trudny do zrozumienia, i cała łączność z niemi polega głównie na tym, że pieszczę ich brudne dzieciaki, obdarzam je łakociami, a rodziców pozdrawiam przyjaznym słowem i spojrzeniem. Cóż począć, pragnę bardzo czyjejś życzliwości i serca, i zdaje mi się, że najłatwiej względnie zdobyć ją u tych biednych ludzi, choćby za cenę okazywanej ich dzieciom sympatji. Bo jakkolwiek wiem dobrze, że na mój widok rozradowane twarzyczki dzieci i spojrzenia ich rodziców mają za podstawę przywiezione przysmaki, to jednak czuję, że w głębi tkwi tam jeszcze i wdzięczność za szczere zaiteresowanie się ich losem, niezbyt zaiste godnym zazdrości. Ubóstwo, brak najkonieczniejszych potrzeb, a po za tym upośledzenie umysłowe — oto ich życie, a raczej wegietacja.

W czyim mózgu przebija się świadomość nędzy — temu istnienie staje się gorszym, bo dołącza się doń bunt, gdy u innych panuje rezygnacja.

Smutno mi, gdy myślę o tym i przypominam sobie, że od najmłodszych lat kwestja ta zajmowała mię i los naszych biednych zaniedbanych braci stanowił dla mnie zagadkę życiową nie do rozwiązania.

Ale czy koniecznie smucić się trzeba ciągle, wobec tego, że życie jest tak krótkie? Przykre myśli

trzeba odpędzić, żeby móc nie utracić energji życiowej, która w smutku słabnie i gaśnie.

8 lipca.

Dziś użyłam przejażdżki po morzu. Dogasające blaski zachodu tak cudnie lśniły na dalekiej powierzchni, że, znęcona urokiem, zapragnęłam pokołysać się w wątłej łupince, zdana na łaskę fali i przewoźnika.

Nie czuję nigdy obawy na morzu, jednak często mam niejasne przeczucie, że żywioł ten w życiu moim odegra jakąś straszną rolę.

Kocham morze, działa ono na mnie nad wyraz podniecająco... Uspokajam się dopiero w maleńkiej łódce, oddalona od brzegów.

Często też używam tej przyjemności z domieszką goryczy, wynikającej z mego osamotnienia, gdy obok miłość łączy ludzi w pary, życie wre, pragnienia i pożądania kłębią się.

Gdy widzę pary w miłosnym uścisku, jestem zazdrosna: żal mi chwil, które płyną, a z których nie korzystam, będąc zdala od Ciebie.

10 lipca.

Dwa dni zmarnowałam zamknięta w swojej willi, i to dzięki własnej nieroztropności. Przezię-

biłam się, przyszła gorączka, i zmuszona byłam leżeć w łóżku na łasce uprzejmości służącej — i nawet pisać mi lekarz zabronił, aby nie denerwować się i nie osłabiać.

Szczęściem pogoda nie dopisała i deszcz nie ustawał całe dwa dni, tak że wybrzeże wyludniło się zupełnie; najzawziętsi tylko spacerowali, nie licząc się z deszczem i wichurą.

Ale doktór mi obiecał, że już jutro będę mogła wyjść. A może i słońce wreszcie z za chmur rozbłyśnie...

15 lipca.

Źle. Nerwy moje hulają. Dziennik mi nie wystarcza. Tęsknię za Olkiem, i to powiększa moje rozdrażnienie. Przytym ciągła samotność zaczyna mi dokuczać. Widzę z daleka znajome twarze, ale pomimo to nie mam odwagi zbliżyć się i nawiązać dawnych stosunków. Wszakże Olek prosił mię, bym się od starych znajomości trzymała z daleka. Spotykam naprzykład Alę Relską z jej obrzydliwym starcem i z młodym Kańskim. Jest jak zwykle bezczelna z tą swoją dziewczęcą twarzą i popisuje się wspaniałemi toatetami.

A ci dwaj — prawdziwe okazy. Jeden trzęsący się bezzębny starzec, drugi zaś początkujący młodziutki samczyk.

kuć mężczyznę, jeśli go się w dodatku kocha, jeśli mię już miał wreszcie i poznał cały świat upojeń we mnie zamknięty?

Więc czemu dręczę się, czemu wątpię?... Nieraz przypominam sobie chwile naszego poznania się. Było dość banalne, na jakiejś niezbyt melodyjnej operetce. Powitałam Cię zdawkowym ukłonem przy przedstawianiu przez jednego z naszych wspólnych znajomych; następnie kolacja, potym dość ożywiona rozmowa, ogólne podniecenie szampanem, a nadewszystko nuda, ogarniająca mię aż do sennego odurzenia. Widocznie, Olku, Twoja błyskotliwa konwersacja nie wpłynęła na mnie podniecająco, jakkolwiek miałeś wyrobioną opinję *causeura*.

21 lipca.

Że piłam już natenczas z puharu życia—zapierać się nie myślę, bo oczy i usta i takby mię zdradziły. Życie wcześnie wykoleiło mię: zgwałcona przez starego rozpustnika, przyjaciela matki, jako czternastoletnie dziecko poznałam już cały mechanizm stosunku mężczyzny do kobiety. Długą chorobą opłaciłam zdobyte uświadomienie, a potym już, pomimo prób naprawienia złego—we krwi mojej odezwała się dzika żądza życia, która mię pchała coraz dalej i dalej. Aktorką być chciałam, ale oprócz ładnej twarzyczki nie miałam więcej da-

nych na artystkę. Zrezygnowałam więc z poważnej sztuki, lekka tylko muza mogła mieć ze mnie pociechę. Zostałam tedy aktorką kabaretową. Tu uczułam się w swoim żywiole i, pomimo zawiści koleżanek, wiodło mi się dobrze. Koledzy kochali się we mnie, odpłacałam im nieraz wzajemnością: miałam tyle do rozporządzenia! Młodość, wrzącą krew. Dawałam więc to wszystko, przejęta dziką żądzą życia i niszczenia...

O, jakże często pragnęłam w pocałunkach mych sączyć krew, żeby je zatruć, zarazić tchnieniem szału, jaki mnie ogarniał. Nie analizowałam jeszcze wtedy życia. Później dopiero, gdy zdeptana, skopana nieraz, wyzyskana przez tych, co się mną nasycili i rzucili jak zmięty kwiat, miałam chwilę zastanowienia i wniknięcia w siebie i swoje życie... dopiero wówczas odzywał się we mnie jakiś bolesny jęk. Ale i to przechodziło, zły moment znikał, słońce zajaśniało na horyzoncie, i żyłam znowu jak barwny ptak ku uciesze tych, co się mną bawili.

Wystarczyło mi spojrzeć w lustro, kupić nowy kapelusz; brylantowy pierścień łzy osuszał, a zawistne spojrzenia przyjaciółek były dostatecznym tryumfem. Chopców mi nie brakowało nigdy, miałam nawet takiego, którego kochałam. Był hojny, psuł mię i rozpieszczał, obwoził po świecie. Skupował brytanty, stroje, miałam w mieście wspa-

niały apartament, za miastem willę, francuzkę, pudelka Bibi, papugę za sto rubli, która się zwała Cora, wspaniałą porcelanę i niezrównaną bieliznę. Zazdroszczono mi tak, że Mery z tego powodu puściła raz plotkę między znajomemi, żeby mi zepsuć markę, żem chora i kryję się z tym i że w Monte-Carlo schwytano mię na podejrzanym manewrze w sali gry. Plotka ta już tak zaczęła kursować w naszym światku, że nareszcie doszła i do mnie. Przyniósł mi ją jeden z mych eks-kochanków, Ilnicki; spiorunowała mię ona do tego stopnia, że po wyjsciu jego postanowiłam się otruć. Zadzwoniłam na pokojówkę, żeby przygotowała gorącą kąpiel, muślinowy szlafrok i butelkę szampańskiego. Zadziwiona mina służącej nie oprzytomniła mię. Kiedy już wszystko przygotowała, wysłałam ją po kwiaty i zostałam sama.

Odetchnęłam. Nareszcie! Chwila się zbliża, zrobię ze sobą koniec. Mam tej ohydy dość. Pobiegłam do swej gotowalni — zrzuciłam ubranie i weszłam do wanny. Odurzająco wonna kąpiel oszołomiła mię do reszty. Spojrzałam w lustro i ujrzałam się w nim, i zapałałam dziką żądzą zniszczenia tego piękna. Niech już raz przestanę być przedmiotem brutalnej żądzy, niech niczyje wargi nie ślinią już mych marmurowych ramion i niech przestaną bezcześcić mi moje łono obrzydliwe dotknięcia głodnych rąk.

Zarzuciłam szybko szlafroczek, rozpuściłam włosy—czułam się piękną, jaką chciałam być po śmierci, by wzbudzić żal i współczucie ludzi, którzy mię wówczas będą oglądać.

Śmiertelnym łożem miał być szkarłatny leżak. Rzuciłam się nań i, nie czując najmniejszej tremy, wypiłam parę szklanek wina. Do ostatniej wsypałam swoją od lat tylu chowaną, a zdobytą podstępem w żartach pastylkę szybko działającej trucizny. Zmieniony smak wina nie dokuczył mi zbytnio, ale naraz dreszcz lodowaty wstrząsnął mną, a we wnętrznościach uczułam płomienie, pożerające mię, jak ogień piekielny. Serce zamarło raptownie i przeciągły jęk wyrwał mi się ze spalonych ust. Ciemności otoczyły mię, uczułam że lodowacieję i lecę w przepaść bez końca.

Ból nie do zniesienia otworzył mi oczy, uczułam, że poruszają mię i podnoszą czyjeś ręce, wlewają jakiś płyn w usta przez zaciśnięte zęby, gdy jednocześnie do świadomości wkrada się myśl, że jestem już napół trupem, któremu wszelka pomoc niepotrzebna. Uczucie grozy przedśmiertnej pojawiło się dopiero w nocy.

Bóle, szarpiące wnętrzności, ustały. Bezwład ogarniał stopniowo całe ciało i zimno posuwało się coraz bliżej ku sercu.

Dozorczyni siedziała wprawdzie u łoża, lecz, snem zmorzona, pomocy mi udzielić nie mogła.

Zresztą, niczego już nie potrzebowałam.

Chciałam umrzeć i nie bałam się śmierci. W ostatniej dopiero godzinie zbudziło się w sercu uczucie przejmującego żalu, że konam samotna, bez możności przytulenia głowy do jakiejś kochającej istoty ludzkiej. Odepchnięta przez matkę i siostry, miałam przy sobie tylko płatną usługę. Życie przemarnowałam, nie zdobywszy nic i leżę teraz, jak pies bezdomny, narażony na kopnięcie bezlitosnego przechodnia.

Przypomniałam sobie o istnieniu Boga i chciałam modlić się doń, zapomniałam jednak z biegiem lat słów modlitwy.

Noc, zmniejszona świadomość, uczucie zapadania się w przepaść—oto wszystko. Lecz Anioł Smierci musnął mi zaledwie czoło skrzydłami i uleciał, zostawiając mię na długie dni i noce walki o tlejącą jeszcze iskierkę życia. W gorączkowych snach widywałam przeróżne twarze, jakoby lica upiorów, choć już pod koniec rozpoznawałam nieraz wyraźniej — śnieżne gorsy lub brylanty w uszach.

Później nieco, dochodziły mię krzyki i śmiech czułych przyjaciółek z mego jadalnego pokoju, toasty i brzęk tłuczonych kieliszków. Pili widocznie za moje zdrowie, a ja, niestety, ocenić tego nie potrafiłam.

Lekarz, któremu mój stan nerwowy nie podobał się wcale, zabronił wkrótce wszelkich odwiedzin. Zwolna przychodziłam do zdrowia. Długa

i nudna rekonwalescencja ciągnęła się całe tygodnie. Przez ten czas oceniłam, co to jest być otoczoną ludźmi, chciwemi zdobyczy. Służba kradła wszystko, co się dało, nie bojąc się żadnej odpowiedzialności w razie mej śmierci, na którą liczono z całą pewnością.

Ani jednej życzliwej, ani jednej prawdziwie bezinteresownej istoty. Nareszcie jednak przyszłam nieco do zdrowia. Blada i chwiejna podeszłam do lustra. Zdrętwiałam. Piękna Cora i ja w tej chwili — to były dwie różne istoty.

W tydzień później, po likwidacji oszczędności i urządzenia, wyjechałam do N... Tu zakończył się pierwszy okres mojego życia, a zaczął inny, całkiem nieoczekiwany.

Obecnie zdaje mi się prawie, że to nie ja przeżywałam to wszystko!

Zimno nocy przejmuje mię dreszczem. Wspomnienia tak mię omotały nieuchwytną przędzą, że zdaje mi się, iż dotąd śniłam tylko, teraz zaś dopiero naprawdę bytuję materjalnie.

Może przed wiekami istniałam już jako grecka hetera, lub Psyche, tęskniąca w poszukiwaniu nieśmiertelnej miłości i Piękna.

Nie wiem, co się ze mną dzieje. Oszołomiły mię wspomnienia tego wszystkiego, od czego teraz tak [illegible] daleka, daleka.

Na myśl o tym przejmuje mię dziwne uczucie tryumfu jakoby nad losem, który mię chciał

zgnieść. O, tak, ja dziś nie ta, co dawniej. Tyś tego dokonał, Olku, mój złoty śnie, moja ziszczona tęsknoto!

Jestem znowu spragniona życia i Ciebie, przedewszystkim Ciebie!

Sama myśl o Tobie jest jak ożywczy strumień, sączący świeżą krew w moje żyły.

25 lipca.

Kiedy już tak się rozpisałam, chcę w dalszym ciągu doznawać słodyczy zwierzeń powiernikowi, który nie zdradzi. Zresztą, co za obawy? Wiedziałeś przecież, kim byłam. Poznałeś mię w środowisku, gdzie takie kwiaty, jak ja, kwitną i gniją, i wstrętną Ci nie byłam; przeciwnie, moje zepsucie pociągało Cię jeszcze. Później dopiero, kiedy moja dusza, w prochu u nóg Twych zdeptana, o litość dla siebie żebrząca, ukazała się Twym oczom, gdy pokalana i sponiewierana o godność się swoją upomniała, spojrzałeś na mnie inaczej i czarodziejski świat miłości zdumionym moim oczom ukazałeś.

26 lipca.

Słońce tak dopieka na piasku, że [illegible] miałam odwagi iść do kosza, ani na pieszą wycieczkę,

użyję za to rozkoszy przypomnień, do czego mam dziś niepohamowany zapał. Jakże to wszystko stoi mi przed oczami, cały epizod poznania Olka, i to wszystko rozkoszne i bolesne zarazem, com przeżyła wtedy, gdy z popiołów sponiewierania błysnęło słabe światełko ducha, co o swoje prawa dopominać się zaczął.

Kiedy wreszcie uczułam się już zdrową zupełnie, porzuciłam nudny zakątek N... i wróciłam do mego ukochanego miasta, gdzie przyjęta zostałam przez nasz półświat z otwartemi rękoma. Kwitnąca urodą i zdrowiem, rozsiewałam iskry wesołości i zaczęłam znowu żyć po dawnemu. Z Mery pogodziłyśmy się szybko. Ona jednak ma w gruncie dobre serce, szkoda tylko, że odzywa się ono tak rzadko.

Nuna już w trzecich rękach: Wacek ją porzucił, poszła dalej, choć byłaby z chęcią żyła z nim i wiernąby mu była. Ale to już taki los. Marna kobieta trafia na takiego, którego jest pewna, choć nic jej po tym, bo ją coś niesie dalej,—i odwrotnie.

Narazie żyłam jak ptak: dziś tu, jutro tam, ale to mi nie dogadzało, a i stały deficyt zaczął mi dokuczać. Wreszcie zdecydowałam się na umówionych warunkach dzielić rozkosze życia z baronem Steinem. I popłynęło życie wartkim strumieniem uciech. Zaczęłam się bawić. Wtedy to w tym rozbawionym światku spotkałam Ciebie.

Poznanie odbyło się bez żadnych przeczuć. Ot, jeden więcej. Odsłoniłam niby przypadkiem sukni więcej, niż potrzeba, ale to Cię zamiast wziąć— wprost odepchnęło. Spostrzegłam wyraz niesmaku na Twojej twarzy. Przeciętna kokota — mówiły Twe oczy. Musiałeś być przeżyty. Myślą tą pocieszałam się nieco.

Później, przy częstszych spotkaniach, zacząłeś mię traktować jak towar do nabycia, wyłączając w tym wszelką subtelność. Zabolało mię to bardzo. Czegoś mi w Twoim stosunku do mnie zaczęło brakować, czego — nie rozumiałam narazie.

A jednak, gdyś z całą brutalną bezwzględnością i żądzą wziął mię i zażądał tylko wyłączności na czas trwania naszego stosunku,—porzuciłam barona i poszłam, jak urzeczona, za Tobą, by pozostać wyłącznie na usługach Twoich kaprysów.

Nic nie było w stanie odepchnąć mię od Ciebie: ani lekceważenie i pogarda, ani umyślnie okazywany czasami wstręt.

Czułam się szczęśliwą, gdy mogłam wdziękiem swym wzruszyć i podrażnić Cię na nowo, dostrzec w Twych tak chłodnych oczach zapalającą się nagle iskierkę żądz, którą rozetlić już nie trudno mi wtedy było.

I wystarczało mi nieraz trwać przy Tobie nocami całemi wtedy nawet, kiedy żar mego ciała

niezdolny był wyprowadzić Cię z apatji. A kiedy odchodziłeś ode mnie do swoich przyjaciół, czekałam przed drzwiami na szelest Twoich kroków. I nieraz świt biały zastawał mię, leżącą tak w odrętwieniu. Nazajutrz płakałam z bólu, dowiadując się, że gościła Cię najukochańsza z moich przyjaciółek, Fifina.

Wyraźnie kopałeś mię, jak psa, a jam to znosiła. Chciałam Cię zdradzić, ale nie mogłam zazdrości Twej nawet obudzić. Byłam zazdrosna o swoją piękność i odkąd należałam do Ciebie, za żadne skarby świata nie dałabym się dotknąć innemu.

W końcu zaczęłam Cię podejrzewać, że chcesz się mnie pozbyć, lecz pewna delikatność nie pozwala Ci powiedzieć mi tego otwarcie. Postanowiłam więc odejść sama. Siedziałam długo, namyślając się, co ze sobą począć. Żyć tak jak poprzednio nie mogłam, farsy z truciem nie powtórzę po raz drugi, więc co?

Ha, wszystko mi jedno, aby iść ztąd jaknajprędzej...

Ale raz jeszcze jedyny spojrzeć wokoło, objąć miłosnym wzrokiem ściany, gdzie byłam tak szczęśliwa i nieszczęśliwa zarazem, gdzie po raz pierwszy zbudził się we mnie człowiek. Poszłam do mojej sypialni, miejsca upojeń i bolesnych przeżyć. Białe łoże stało jak niemy świadek, na którego widok serce me zapłakało krwawo.

Tu miałam Twoje ciało, zdane na łaskę mych wyuzdanych pieszczot, tu tryumfowałam, gdym syk rozkoszy z Twych ust wyrwała, ale ponad tym wszystkim unosił się Twój wyzwolony duch, darzący mię pogardą.

Ucichła we mnie burza pożądań i walki. Objęłam ostatnim spojrzeniem swoją estradę miłości i odeszłam precz.

Ile dni upłynęło od tej chwili, ile męczarni zniosłam do tej cudnej minuty, kiedy ujrzałeś mię w jakiejś ohydnej budzie, tańczącą pół nago z rozpuszczonemi włosami przed gronem pijanych marynarzy w Odesie!...

Moment, kiedy znalazłam się oko w oko z Tobą, krwawy wstyd na mojej twarzy, Twoje wyciągnięte ku mnie ręce, wszystko to zostanie mi w oczach na zawsze.

Olku, przepoić chciałabym Cię sobą, żebyś oddychał mną jak powietrzem, pragnęłabym się roztopić w lekką mgłę, przystępną Twym płucom.

Nie mogłam narazie uwierzyć, że mię kochałeś od pierwszego spojrzenia, a dziś wierzę, że spotkanie nasze było szczęściem, należnym mi od prawieków.

W kilka dni po napisaniu ostatniej notatki, Cora radosna, promieniejąca, przechadzała się po plaży, łowiąc wzrokiem przelatujące nad morzem

mewy. Ranna poczta przyniosła jej kilka słów, skreślonych ręką kochanka. Słowa te umiała wkrótce na pamięć. „Za pięć dni przyjeżdżam, bądź mi zdrowa i świeża jak poranek. Twój Ol.”. Ta mała pocztówka, ukryta na piersiach pod cienką tkaniną bluzki, była dla niej świętym talizmanem. Zaraz też napisała misterny, krótki liścik, aby wyznań nie przeładować słodyczą. Wiała zeń miłość, jak nieuchwytna, a odurzająca woń tuberozy. Siedziała na oddalonym i niezbyt uczęszczanym morskim wybrzeżu, aby skrócić rozłąkę z Olkiem, którego interesy odwołały na kilka tygodni w podróż. Po spotkaniu w Odesie, spędzili razem niezapomniane chwile w pewnym, górskim zakątku, zdala od świata, żeby przyprowadzić do możliwej równowagi zachwiane nieco zdrowie Cory, którą przebyte wstrząśnienia omal nie zabiły.

Pewnego poranku zaszeleściała na piasku morskim jedwabna suknia i wspaniały kapelusz, z pod ronda którego uśmiechała się bezczelna twarz Finy. Spotkanie zelektryzowało Corę. Echo ze świata w postaci strojnej przyjaciółki przywiodło jej na myśl dawne hulaszcze życie. Fina ze zdumieniem oglądała skromny, angielski kostjum Cory i zapytywała wzrokiem, co za znaczenie może mieć ta maskarada? Strojny, wyświeżony jej towarzysz przyglądał się Corze z ciekawością,

a przedstawiony jako hrabia Wiś, zaprosił obie damy na kolację do kursalu.

Cora nie śmiała odmówić z obawy drwin, w głębi duszy czuła jednak wyrzuty sumienia i niewyraźną obawę przed Olkiem na wypadek, gdyby się dowiedział. Czuła się też jak obca w tym towarzystwie, gdzie rzucane od czasu do czasu tłuste dowcipy raziły ją i bolały. I Fina nie mniej nie poznawała dawnej Cory. Gasiła wesołość swoją uduchowioną, twarzą, którą ból wyszlachetnił i wyanielił. Przykro przeszła ta noc dla Cory. Za każdą otwieraną butelką szampana, ogarniał ją coraz większy niesmak i wstręt, podczas, gdy twarze Finy i hrabiego Wisia stawały się coraz cyniczniejsze. W końcu, gdy Fina zaczęła śpiewać kuplety paryskie i wesołość doszła do zenitu, Cora, korzystając, że nie zwracają na nią uwagi, wysunęła się cichaczem. Biegła, pragnąc jaknajprędzej znaleźć się w swym zacisznym domu, gdzie czuła się samotna, mając jako jedyne towarzystwo swe myśli i tęsknotę za Olkiem, a jedyną rozrywkę ulubione książki. Cicho otworzyła drzwi, nie chcąc budzić sąsiadów, i zaczęła się rozbierać. Naraz wzrok jej uderzyła jakaś biała plama, leżąca na stole. Depesza. Rozerwała pieczątkę—żaden cień niepokoju nie pojawił się w jej myśli — wszakże miał wrócić w tych dniach, zapewne więc wiadomość o przy-

jeździe. Lecz cóż to?! Cora blednie... słania się. Naraz dziki, rozpaczliwy krzyk wyrywa się jej z ust, ręce podnoszą się ruchem groźby ku górze i oszalała wybiega wprost z zamierającym krzykiem buntu ku wybrzeżu, gdzie zrywa się i huczy orkan. Biała postać ginie wkrótce, pochłonięta rozkołysanemi falami.

W kilka dni później ciało biednej Cory wyrzuciło morze w ulubionym miejscu jej wieczornych przechadzek. Pochowała ją Fina na skromnym cmentarzyku nadmorskim, wylewając szczere łzy żalu nad tragicznym zgonem przyjaciółki.

Znaleziony w mieszkaniu denatki telegram, donoszący o nagłej śmierci Olka, był piorunem, który druzgotał umysł i serce biednej istoty.

DO SZCZĘŚCIA.

„Tak strasznie dokuczyła mi ta niezaspokojona tęsknota za Tobą, że zdobywam się na krok śmiały, i piszę. Pozdrawiam Pana i żegnam, bo widzę, że tęsknić już dłużej nie zdołam, że spaliłby mię ten płomień i uczynił niezdolną do ukrywania tego co czuję, a co jest przeznaczone na zagładę. Niestety, nie może być inaczej! Dzielą nas prawa boskie i ludzkie, a pomimo wszystko, nie zdobędę się na to, żeby wbrew im postąpić i podeptać to, co mię nauczono szanować.

„A więc nigdy, przenigdy nie nadejdzie owa cudna, wyśniona i tak upragniona przeze mnie chwila, kiedy po raz pierwszy miałam śmiało spojrzeć w oczy Pana, nie wstydząc się tego, cobyś w nich wyczytał... Marzyłam, że usiądę wtedy obok Pana cicho, i kryjąc twarz w dłoniach, zostanę tak chwilę, aby ogarnąć myślą nawał wstrząsających

mną uczuć, opanować łzy szczęścia — czy tylko bólu, że tak późno poznałam najwyższą radość życia,—bo wówczas, kiedy może nic już nie mam do dania z uczuć wiośnianych, niewinnych, które są daleko po za mną.

„Białe kwiaty uczuć mych umarły, zwarzone zbyt wcześnie. Potym marzyłam, że nastąpi chwila, gdy obejmą mię Twe ukochane ramiona i spragnionych ust mych dotkną Twe usta—zamęt w myślach i to błogie przeświadczenie, że piję z krynicy jedynej, z płomiennej krynicy życia... Tę rozkosz mam już w sobie, przeżywam ją — nie z samych pożądań zmysłowych płynącą, ale z cudnej myśli, że to jest może moje jedyne w życiu szczęście, od wieków mi przeznaczone i w nieskończoność idące. A jednak teraz to wszystko drogie, upragnione muszę odepchnąć od siebie, zdobyć siłę nadludzką, by zagłuszyć bunt, wznoszący się we mnie i głuchą rozpacz, że, po dokonaniu tego, zostanę taka sama, samiutka na wielkim oceanie życia, aż do skończenia moich dni.

„Usta mi drżą, płakałabym jak małe dziecko, które krzywdzą, a ono nie wie jak się bronić. Życie skrzywdziło mnie, nie dając szczęścia, ale dziś na to niema żadnej rady, muszę poddać się przeznaczeniu. Niech Pan nie stara się osłabić mojej woli, proszę; jeśliby tak być miało, żałowałabym dzisiejszej szczerości i, sądzę przytym, że

chwiejność taka byłaby tylko chwilowa, a więc nigdy nie dałaby nam szczęścia."

Po napisaniu tego młoda kobieta zadzwoniła na służącego i poleciwszy niezwłocznie doręczyć list pod wskazanym adresem, ułożyła się wygodnie na miękkiej kanapce, usiłując objąć myślą całą sytuację.

Oto od dłuższego czasu, starając się samej siebie nie dać poznać, usiłowała przeniknąć duszę człowieka, do którego ciągnęło ją coś nieprzeparcie. Nie zmysły, tego była pewną, uśpiła je bowiem sztucznie aptecznemi środkami, dzięki uprzejmości dawnego i oddanego lekarza... a więc co? Tęsknota za miłością, szczęściem?... Wiedziała przecież, ile to wszystko warte.

Stwierdziła, że ludzie oszukują się sami w ciągłej pogoni za szczęściem, za miłością, zdobywając tylko surogat jej, dość kiepski.

Przed oczyma Iny przesuwały się setki związków miłosnych, nietrwałych, banalnych, dających tak małe zadowolenie moralne, że to samo już powinno ostudzić jej egzaltowaną duszę. Pociemniały błękitne oczy kobiety przy tych myślach i bolesny grymas osiadł na kształtnych zmysłowych ustach. A jednak nie przestawała pragnąć i tęsknić... Unikała łatwych okazji i okazyjek, gdyż za wiele wymagala od miłości. Ustrzeglo ją to narazie. Sądząc się zabezpieczoną, rozpoczęła grę, w której własne życie i serce postawila na

kartę, a dziś już, walczyć niezdolna, czując, że koniec porażki bliski, chciała dowieść mocy charakteru, odpychając od spragnionych ust czarę rozkoszy.

Ale myśli rozpalają krew i dreszczem rozkoszy wstrząsają ciałem... Palą usta, nabrzmiewają pragnieniem pocałunku — choć raz jeden, jedyny. Raz tylko opleść jego szyję ramionami, przycisnąć usta do ust. Może potym łatwiej ukoić pragnienie, zabić uczucie! Nieobliczonym ruchem porwała się z kanapy, stanęła przed lustrem. Twarz blada, oczy, płonące fosforycznym blaskiem, przy bladej twarzy zdają się czarnemi. Wzburzone rudo-złote włosy czynią ją tak kusząco piękną, że mimowoli sama przed sobą w zachwycie stoi. Lecz wkrótce zachwyt ginie, Irena twarz zakrywa rękoma, a łzy, jak drobne perełki, sypią się nagle sznurem.

Wtym czyjaś dłoń spoczęła na ramieniu Ireny i stroskane oczy pytająco spojrzały na jej spłakaną twarz.

— Ino, co ci, czyś chora?

Oprzytomniała nagle.

— Tak, Leonie, — odrzekła słabym głosem, lekko usuwając obejmujące ją ramię. — Bądź łaskaw zawiadomić Reskiego, czuję się gorzej, kładę się zaraz. Dobranoc ci... — Odeszła.

Jeszcze drżał w powietrzu szelest jej sukni, jeszcze zapach jej włosów i czar jej postaci trwał,

a pan Leon, zdziwiony, nie mógł pojąć postępowania żony. Nie zaniepokoił się tym jednak, zdawna składając podobne objawy na karb przeczulonych nerwów bezdzietnej mężatki. Nie popsuło mu to więc apetytu, lecz jako troskliwy mąż, kazał nakryć do stołu w pokoju żony, by w jej obecności zjeść kolację. Samotność bowiem rozdrażniała niekiedy bardzo młodą kobietę.

W fali koronek tonęła główka Iny, gorączką płonęły oczy, gdy mąż zbliżył się ze znanym i szanowanym doktorem Reskim, który z właściwym sobie humorem i werwą starał się rozchmurzyć czoło pięknej pani. Pan Leon dyskretnie usunął się do swego pokoju, uspokojony wzrokiem lekarza, że prawdziwego niebezpieczeństwa niema. Po wyjściu męża, Irena, dotąd panująca nad sobą, rozszlochała się na dobre. Bolesna prawda wyrwała się jej z ust potokiem skarg, a w miarę tego twarz lekarza-przyjaciela zasępiała się coraz bardziej i szarzała, jakby cała jej radość uleciała. Nie było to trudne do przewidzenia. Musiało przyjść w końcu. Reski wiedział, że skutkiem ciągłych walk siły Ireny wyczerpywały się stopniowo. Wpływem swoim uspokajał ją więc, środkami powstrzymywał grożący wybuch choroby nerwowej, a tu coraz bardziej wikłały się okoliczności, i oto teraz stoi w obliczu już nietylko choroby ciała, ale stokroć straszniejszej choroby duszy.

Z wielką ostrożnością i serdecznością wypy-

tał Irenę o wszystko, a słysząc, że nic nie zmieni jej postanowienia, że wytrwa tu, gdyż czuje się niezdolną do walki ze światem i przesądami, odszedł, zostawiając ją pozornie spokojniejszą, jakby zrezygnowaną.

I oto zaczęły się dni szare, beznadziejnie nudne i smutne, kiedy Irena godzinami wpatrywała się nieruchomo w przestrzeń lub, z książką w ręku, wsłuchana w zgiełk ulicy, nasłuchująca dzwonka, trwała w bezskutecznym oczekiwaniu listu. Noce, kiedy krew, pulsująca w skroniach, odgłos uderzeń serca spać jej nie dawały. I ciągle ten stan podnieconego oczekiwania, ciągle przywoływanie z głębi duszy ukochanego, i pustka, i cisza martwa.

Zwolna powstawał w niej żal do siebie samej, że własną ręką rozbiła szczęście i nie ma żadnego zadowolenia, nie czuje żadnego tryumfu, tylko coraz większą gorycz i niesmak.

Aż po wielu smutnych dniach nadszedł ranek promienny i jasny, w okna trysnął snop złotych promieni. To wiosna, zwiastunka odrodzenia. Słońce, jasność zelektryzowały Irenę. Coś nakształt uśmiechu zabłysło na zmizerniałej twarzyczce, zajaśniało życie w oczach. Ubrała się i wyszła na miasto. Szła znanemi ulicami, nie widząc nikogo, zajęta jedynie myślą, aby być zdala od miejsca, skąd wyszła. Nie wiedząc jak i kiedy znalazła się przed okienkiem kasy na dworcu ko-

lejowym. Wymieniła machinalnie jednę z dość oddalonych stacji podmiejskich. Znalazszy się w pustym przedziale wagonu, próbowała uchwycić rozpierzchłe myśli i zorjentować się gdzie i po co jedzie? Przesuwające się raz po raz widoki świeżej wiosennej roślinności kojąco działały na jej nerwy i zmuszały do odwrócenia myśli na zewnątrz. Zapatrzona w okno, nie spostrzegła więc otwierających się z trzaskiem drzwi przedziału, a w nich młodego mężczyzny, który zdziwiony narazie, chciał się cofnąć, lecz silniejsze jakieś uczucie zatrzymało go na miejscu.

Naraz uszu zadumanej Ireny doleciał szept cichy, melodyjny, przepojony żalem i miłością: — Ino, coś ze mną zrobiła? — Zbladła śmiertelnie, jakby życie z niej uciekać chciało, aż, zmartwiały z przerażenia, nie wiedząc, co czynić, przybyły porwał ją w ramiona i przytulił do siebie, jakby oddechem swym życie jej chciał wrócić. Zwolna zaróżowiła się blada twarzyczka, oczy spojrzały przytomnie, i okrzyk takiej radości, takiego szczęścia z piersi jej się wyrwał, że upojony mężczyzna zcałował go z drżących ust. Nastąpiła chwila zupełnej ciszy, chwila ukojenia, która jedynie może wynagrodzić wszystko przecierpiane w życiu, chwila wymarzona przez Inę, kiedy duchy ich rozmawiały ze sobą, łącząc się nareszcie po bezowocnych walkach w nieopisanej rozkoszy, której po za miłością nic innego dać nie może.

Wiedzieli teraz, że nie rozłączą się już nigdy, choćby samotnie iść mieli pod urągowiskiem krótkowidzów, mając dla nich serce, pełne współczucia, jako dla tych, co nie znaleźli cudownego, przeczystego źródła, z którego napój daje nadziemską moc i pozwala śmiało stanąć oko w oko z nieodgadnioną zagadką bytu.

— Cierpienie moje skończone—szepcze radośnie Ina—nie śmiałam marzyć o szczęściu, wątpiłam prawie, czy znieść, czy odczuć już mogłabym taką zmianę w życiu, i to było jednym z powodów, dla których wydałam na siebie wyrok—bo wyrokiem duchowej śmierci było dla mnie wyrzeczenie się Ciebie. Ale teraz, kiedy jestem przy Tobie, kiedy ta fala porywa mię i niesie, czuję, że żadną moc ludzka oderwać mię od Ciebie nie zdoła.

Silniej objął ją ramieniem i z nagłą trwogą, jakby przed niewidzialnym wrogiem zasłonić ją pragnął, przycisnął do siebie, jej zaś oczy śmiały się radośnie po raz pierwszy od bardzo dawna i cała postać jaśniała szczęściem. Czuła się zupełnie bezpieczną przy boku ukochanego, i żadne wyrzuty sumienia, ani widmo opuszczonego domu nie zakłócały jej radości tej chwili.

Kiedy na pytające spojrzenie matki, zdziwionej tak nagłym zjawieniem się córki w towarzystwie mężczyzny, ledwie znanego jej z opowiadania, Ina w krótkich słowach wyjaśniła obecną sy-

tuację, — ujrzała na jej twarzy taki ból i wyrzut, że zdało jej się, jakby promienne słońce zaszło chmurą, z której grom spaść musi.

Pożegnany obojętnie przez matkę, a z niezmierną czułością przez Inę, Ilnicz odjechał ze smutnym przeczuciem w sercu, obiecując wrócić jaknajrychlej, aby nie pozwolić swej ukochanej tęsknić za długo i zawiadomić ją o wyniku starań, mających utrwalić przyszłe wspólne szczęście.

Ina, pozostawszy z matką, pojęła dopiero, jak trudne zadanie miała do spełnienia, bo że świat nie będzie po jej stronie, wiedziała, lecz że serce matki odwrócić się od niej może—nie mogła przewidzieć. Tymczasem ujrzała mur, wykluczający wszelkie serdeczne wynurzenie, a wymiana myśli zaostrzała tylko sytuację z powodu nieugiętych przekonań matki, wiernej raz przyjętym formułom. Ina była w rozpaczy.

Tymczasem Leon, zawiadomiony lakoniczną kartką Jerzego o pobycie Iny u matki, nie przeczuwając jeszcze nic złego, następnego dnia zjawił się w Zawiei, aby zasięgnąć wiadomości o zdrowiu żony i przekonać się, co to za kaprys zmusił ją do tak nagłego wyjazdu. Od śmierci ojca bowiem Ina nie mogła znieść widoku miejsc, gdzie na każdym kroku prześladowało ją wspomnienie tego, co tu niegdyś żył, czuł i cierpiał.

Kiedy przed wieczorem Leon zjawił się w cichym dworku pani Koreckiej, zastał obie:

matkę i córkę zadumane i dziwnie zamknięte w sobie. Nasunęło mu to myśl zaszłej między niemi dysharmonji. Podsunął więc Inie projekt natychmiastowego wyjazdu do miasta nocnym pociągiem, natrafił jednak na opozycję. Dopiero później, siedząc milcząco przy herbacie i prowadząc zdawkową rozmowę dla zmylenia czujności służby, zaczął pojmować, że zaszło tu coś poważniejszego. Czuł grom nad swoją głową, choć jeszcze wmawiał w siebie, że to jest jego własne przywidzenie.

Tymczasem zbliżała się burza; niegroźna wiosenna burza, kiedy to daleki grom przehuczy, wiatr przewieje, zakotłuje się w powietrzu i silny gwałtowny deszcz spadnie na świeżą zieleń drzew, pobije spóźnione pąki, słabsze postrąca, silniejsze rozwinie raptownie i dziwnym aromatem napoi powietrze, błogością obejmie całą przyrodę.

Pozamykano w salonie okna i drzwi. Stało się naraz dziwnie duszno tym trojgu ludziom, siedzącym zdala od siebie. Ktoś musiał jednak wreszcie przemówić; najsłabsza i najbardziej przeczuna istota pierwsza odzyskała spokój, i odrazu postawiła kwestję na ostrzu noża. Głos jej brzmiał z początku niepewnie. Lecz w miarę wypowiadania się, nabierał stanowczości i wiary w słuszność swych argumentacji.

— Nie mogę być martwą rzeczą, Leonie,

jaką staję się w Twoich objęciach, zadając gwałt swej duszy.

Słowa te nie przebrzmiały bez echa. Niespokojnym ruchem, jakby chciał marę z przed oczu odpędzić, Leon objął głowę i spojrzał wokół wzrokiem napół przytomnym. Nie dowierzał własnym uszom. Jakto, ona, ta spokojna zawsze, ta, której każdą zachciankę rad był spełnić, którą otoczył zbytkiem, przepychem i kochał, pozwalając na wszystkie kaprysy — chce go porzucić? Ona, której życie płynęło jak sen na kwiatach zaczarowanej królewny? Cóż to za moc porywa mu ją? Jaki śmiałek waży się na zabranie mu jego skarbu?

Poczuł się mocnym i pewnym siebie, tymbardziej, że w postawie pani Koreckiej widział coś, co mu kazało przypuszczać, że będzie po jego stronie.

Postąpił bliżej ku Inie.

— Więc to nieodwołalne postanowienie, Ino? Po moim trupie pójdziesz do szczęścia!

Wzdrygnęła się i wszystka krew spłynęła jej do serca. Wiedziała, że to nie żaden frazes w ustach męża. Och, aby nie to! Wszak już dosyć miała, widząc go złamanym i zrozpaczonym. Nic jej złego nie uczynił, całym przewinieniem był tylko ten ślepy egoizm, żeby ją

trzymać obojętną przy sobie, ale po za tym, nic mu nie miała do zarzucenia.

A teraz miałaby ta głowa krwią dla niej się zbroczyć, miałyby te oczy bielmem śmierci się zasnuć? Nie! przenigdy! Albo może to drugie, gdyby on i tamten przeciw sobie oko w oko stanąć mieli z bronią w ręku, a ona temu przeszkodzićby nie mogła, szalejąc z trwogi i bólu, a może lęk zabiłby i miłość... Spojrzała na męża. Stał blady, spokojny, jakby zdecydowany na wszystko. Tylko wargi mu latały w nerwowym drżeniu. Matka, kryjąc twarz w dłoniach, szlochała...

W umyśle Iny przemknęła myśl, że wszyscy spiskują przeciwko niej, licząc na jej tkliwość, dobroć, litość, sumienie i że ona sama za swoim własnym odruchem myśli i pragnień iść nie może, bo moc drobnych pajęczych nici owija ją. Zdaje jej się, że oddałaby wszystko, żeby być sobą, uciekłaby stąd precz od tych ludzi, ale gdzie się schronić? Jest bezbronna i musi zginąć, bo czuje, że nawet przy najbardziej oddanym sobie sercu nie czułaby się pewną. Tam przy nim trwałaby także w ciągłym lęku i obawie i już odtąd nie znalazłaby szczęścia, ku któremu tak niedawno jeszcze biegła z duszą pełną radosnych przeczuć, bo jużby to szczęście krwawa chmura zasłaniała ciągle... A tego nie chce, o, nie, nigdy.

Złowrogą ciszę przerwał głos jej, drgający skargą i bólem, przepojony smutkiem i gro-

zą. Wyrzekła tylko dwa słowa, a zabrzmiały, jak zgrzyt łańcucha, który oswobodzony niewolnik—na nowo sobie nakłada na szyję:

— Los swój oddaję w Twoje ręce, jeśli wolisz, bym przy Tobie umarła, niżli mam żyć gdzieindziej, uczyń ze mną według swej woli.

Po tych słowach nastąpiło jeszcze cięższe milczenie. Jak kamień spadły one na duszę matki, a w sercu pana Leona bolesny tryumf wziął górę nad poczuciem sprawiedliwości, egoizm nad szacunkiem cudzego ja. Nie chciał jednak odrazu zabierać Ireny że sobą, lecz ucałowawszy jej zimne czoło, odjechał sam, unosząc w duszy obraz beznadziejnego smutku, jaki ujrzał w oczach żony. Nazajutrz konny posłaniec odwoził na stację lakoniczny list Iny do Jerzego, zawiadamiający go o przebiegu rozmowy z mężem i w końcu słowa pożegnania na zawsze...

Tymczasem hojna wiosna roztoczyła swoje powaby i wszystko tchnęło szczęściem i niezamąconą radością.

Natura była sobą. Bez pęt ni przymusu łączyły się pary i unosiła się dziękczynna pieśń ptasząt, a miłosne trele słowicze wpadały do samotnego pokoiku Iny w cudne noce księżycowe, niepokojąc leżącą bezsennie na dawnym dziewiczym łóżku, nieczułą na wszystko, pragnącą jedynie pogrążyć się w oceanie wszechwiecznego zapomnienia. Na dwa listy męża, naglące ją do

powrotu, odpisała, że jest tak wyczerpaną, że nawet najkrótszej podróży nie zniesie i oto teraz używa rozkoszy samotności z przeświadczeniem, że jest to jej jedyne i niepodzielne dobro. Za nikim i niczym nie tęskni, żyje jak kwiat lub roślina, a nawet i tego o sobie powiedzieć nie może, bo skąd pewność, że kwiaty nie cierpią i nie kochają?

Tak przeszła wiosna i lato dobiegało już ku końcowi, gdy Ina pomyślała nareszcie o powrocie do domu, choć żal jej było jeszcze wsi i matki. Sama chora od jakiegoś czasu, pani Korecka nie mogła patrzeć bez łez na niknące z każdym dniem zdrowie Iny, na jej policzki blade, oczy martwo patrzące i widzieć, jak żaden odgłos ze świata nie budzi ożywienia ani zainteresowania w córce. Muzykę ulubioną zarzuciła, przechadzki jej nie nęciły i tylko bezksiężycowe noce gwiaździste rodziły jakieś iskry w jej oczach. Zapatrzona w niebo, siadywała na tarasie do późna w noc.

Te dziwne symptomaty budziły w pani Koreckiej trwogę i żal, truła się tym, płakała gorzko po nocach, jakby już nad grobem córki swej stała.

Aż któregoś dnia, wczesnym rankiem, głośne stukanie do drzwi zbudziło śpiącą jeszcze Inę. Była to pokojówka Hanka. O twarzy bladej łzami zalanej, urywanym głosem zaczęła mówić, jak oto dziś znalazła starszą panią w łóżku zimną i sztywną. Z krzykiem porwała się Ina i pobiegła do

matki. Śmierć nastąpiła nagle podczas snu. Ina, nieprzytomna z bólu, bezradna, stała nad martwym ciałem, nie zdając sobie sprawy z upływających godzin, nie wiedząc, co się wokoło dzieje.

Widziała ludzi, przesuwających się obok z lękiem — słyszała jakiś płacz, siostry czy brata, wreszcie mgły na oczach, śpiew księży, i po tym już nic... tylko próżnia w głowie, zapadanie się w otchłań i ciemność.

Kiedy po wielu, wielu dniach pierwszy raz ej oczy spojrzały przytomnie—ujrzała nad sobą pochyloną twarz siostry, a dalej jakąś znajomą postać, i oczy, gdzieś jakby za światami widziane. Przymknęła powieki, bo raził ją zbyt ostry blask. Wtedy usłyszała ukochany, najdroższy głos, który coś szeptem mówił, o coś błagał. Widzi znowu z pod przymkniętych powiek, że Jerzy jest tuż przy niej i trzyma jej rękę, z drżeniem nasłuchując jej oddechu, a dziękczynne westchnienie wyrywa się z jego ust.

Obecność Jerzego nie zdziwiła wcale Iny, przyjęła ją jako rzecz zwyczajną, o męża tylko nie pytała, przewidując coś niejasnego i nieoczekiwanego. Aż razu jednego, siostra, pozostająca przy niej nieustannie, zauważyła jakiś lęk Iny i zawieszone na ustach pytanie Zbliżyła się i łagodnie postawiła pytanie: Czy, myślisz, Ino, o mężu? Gdy szept Iny odpowiedział jej twierdząco — rzekła ostrożnie: — Wolną jesteś,

on teraz sam pragnie wrócić swobodę sobie i tobie, bo znalazł na szczęście odpowiednią towarzyszkę, z którą mu jest dobrze, więc w łaskawości swej i tobie ofiaruje wolność.

— Droga twoja do szczęścia otwarta, a że szczęście tak blisko ciebie, więc nie wahaj się, tymbardziej, że tak dawno i niecierpliwie na ciebie czeka.

Jerzy i siostra zabraniają jej mówić. Leży więc cicho, spokojna i czuje, jak bardzo pragnie teraz żyć i być zdrową i silną. Chce nawet opuścić łóżko, lecz ostrożny lekarz stara się hamować te porywy, mając jeszcze wątpliwości i bojąc się sztucznego podniecenia.

Gdy Ina w końcu po raz pierwszy opuszcza swój pokój, radość jej nie ma granic, a chociaż jesienny wicher za oknami świszcze piekielną sarabandę, ona ma w duszy taką cudną melodję, że już żaden zgrzyt ze świata zewnętrznego zepsuć jej nie może.

Tymczasem zadecydowany przez lekarza wyjazd na południe zbliża się. Wszelkie przygotowania do podróży poczyniono i oczekują już tylko Jerzego, który ma odwieźć Inę na miejsce. Zjawia się wreszcie, lecz uśmiech powitania gaśnie mu na ustach na widok zmian, zaszłych w twarzyczce ukochanej: śladów choroby i unoszącego się nad jej promienną główką jakby cienia śmierci. Usiłuje być wesołym, lecz każde spojrzenie

jej oczu zdaje mu się być ostatnim promykiem szczęścia na ziemi. Pragnąłby uciec z tych miejsc i wywieźć Inę jaknajprędzej. Oddycha dopiero spokojniej, gdy już we troje siedzą w wagonie, unoszącym ich ku słonecznej krainie, gdzie ożywczy klimat pozwoli może odrodzić się tej istocie, tak słodko i ufnie wpatrzonej w niego, i utrzymać istnienie tego kwiatu, który cudem udało mu się wyrwać z objęć śmierci.

KONIEC.